MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 28 WARSZAWA, 15 GRUDNIA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

PETRARCA I POLITYKA WSPÓŁCZESNA

CHOĆ złagodzone, doszły i do czytelnika polskiego echa sporu włosko-francuskiego na łamach prasy rzymskiej i paryskiej. Spory takie w postaci polemik prasowych powtarzają się perjodycznie. Ostatni rozgorzał na tle wyroku paryskiego sądu przysięgłych, którego werdykt doprowadził do skazania zabójcy konsula włoskiego Nardiniego tylko na dwa lata więzienia. Opinja włoska uznała to za uniewinnienie zabójcy. Wzmianka premjera Poincaré'go o „państwie imperjalistycznem", zawarta w jego przemówieniu, wygłoszonem w Izbie przy dyskusji o mandatach kolonjalnych, wreszcie uwaga autora artykułu w radykalnym dzienniku „*Quotidien*" o tem, że nie wystarczy fortyfikowanie granic wschodnich („Dużo się mówi o fortyfikacjach na wschodzie. Czyż się nie myśli o innych granicach") dolały oliwy do ognia. Ton pism włoskich był bardzo ostry, a na ulicach Rzymu odbyły się manifestacje antyfrancuskie.

Wśród tego rozgwaru zapomniano szybko o fakcie, nie mającym pozornie nic wspólnego z polityką, o odsłonięciu pomnika, jaki miasto Arezzo wystawiło wielkiemu poecie — Petrarce.

Francesco Petrarca jest znany szerokim sferom we wszystkich krajach, jako największy poeta liryczny średniowiecza. „Płacz jego serca" —

„*il pianto del suo cor, divino*
rio che pe'versi mormora" —

wzruszał zawsze i wzruszać będzie serca wrażliwe.

Mniej już wiadomo o tem, że był on jednym z tych, którzy przez miłość do kultury antycznej i przez ujawnienie jej dorobku swoim współczesnym, przygotowali Odrodzenie. Zarówno jego poemat łaciński „*De Africa*", jak i prace naukowo-filozoficzne nie mają już dziś czytelników poza specjalistami.

Te zasługi poety dla kultury łacińskiej — będącej wspólnem dobrem Włoch i Francji — przypomniał w Arezzo poeta i badacz sztuki p. Pierre de Nolhac, który wraz z podsekretarzem stanu p. Poncet reprezentował Francję. Przypomniał jeszcze coś więcej, to mianowicie, że Petrarca długie lata swego życia spędził we Francji, głównie na dworze papieskim w Awinjonie, że zakochał się w nieznanej nam dziś z nazwiska córce pięknej Prowancji i że sonety jego, będące podstawą jego sławy, powstały pod wpływem tej miłości.

Sprawozdawcy z uroczystości w Arezzo są zgodni w stwierdzeniu, że fala wzruszenia przepłynęła przez serca zgromadzonych pod pomnikiem poety, gdy siwiutki Pierre de Nolhac mówił o „łacińskości" i o pieśniach miłosnych, w których syn Italji opiewał wdzięki pięknej francuzki. Realni politycy współczesnej, powracającej do barbarzyństwa Europy powiedzą zapewne, iż to wzruszenie nie ma żadnego znaczenia, że jest ono przelotnem uczuciem, które zniknie bez śladu, odświętną przyjemnością estetów, nie mogącą mieć wpływu na życie narodów, mających realną sprzeczność interesów na morzu Śródziemnem i jego wybrzeżach, oraz żyjących pod panowaniem *regime*'ów opartych na sprzecznych i wykluczających się podstawach.

Nam jednak wydaje się, iż ten realizm polityczny nie jest „realny". Wspólna kultura narodów jest czynnikiem bardzo silnym, bo tkwi korzeniami w najgłębszych, podświadomych pokładach duszy. Siły tam spoczywające wychodzą na jaw w momentach decydujących, w chwilach przełomowych, wtedy, gdy naród musi zdobyć się na największy wysiłek. Wtedy często mają większe znaczenie, niż interesy i dążenia doraźne, przemijające.

Tembardziej gdy tym wspólnym pniem, z którego wyrosły narody, jest wielki dorobek Rzymu Starożytnego, ujęty w karby i prześwietlony duchem katolicyzmu. „Jestem Rzymianinem — pisze Charles

Maurras — przez wszystko, co jest w mojej istocie dodatnie, przez wszystko czem wzbogaciły tę istotę przyjemność, praca, myśl, pamięć, rozum, nauka, sztuka, polityka i poezja ludzi, żyjących zbiorowo przedemną. Przez te skarby, które otrzymał z Aten i przekazał naszemu Paryżowi, Rzym bezsprzecznie oznacza cywilizację i ludzkość. *Je suis Romain, je suis humain: deux propositions identiques*". To, co w jednym z największych umysłów Francji współczesnej przybrało formę tak konkretnego sądu, żyje niewątpliwie w sercach wielu, przeważającej ilości francuzów w postaci uczuć, a w pokładach podświadomych ich duszy w postaci instynktów.

Wspólność wiary i kultury ma tem większe znaczenie (tu wkraczamy także na teren polityki realnej), że i ta wiara i ta kultura są dziś zagrożone przez liczne sprzymierzone przeciwko nim siły, zmierzające do opanowania władzy nad światem. Azja i Ameryka zagrażają dziś całemu dorobkowi cywilizacyjnemu starej Europy. By dorobek ten obronić, nie wystarczą siły jednego narodu. Będą się musiały zjednoczyć wszystkie narody, które wyrosły w kulturze łacińskiej lub pod jej wpływami. Obrona tego, co jest nam wszystkim najdroższe, przez co jesteśmy ludźmi, będzie dość realnym czynnikiem życia zbiorowego, by znaleźć swój wyraz w polityce.

Francesco Coppola, pisząc o włochach i francuzach („*La Tribuna*") powiada, że „powinni rozumieć konieczność solidarnej obrony potęgi i cywilizacji, to znaczy życia politycznego i duchowego wielkich narodów łacińskich przeciw naciskowi, codzień silniejszemu i potężniejszemu, obcych i wrogich sił politycznych i duchowych, które sięgają po panowanie nad światem i które nieustannie rosną i naciskają od Waszyngtonu do Genewy, zarówno nad Renem jak i na morzu Śródziemnem, i przeciw którym ludy kultury łacińskiej już nie mogą wystąpić oddzielnie, bo zaledwie im wystarczy sił, gdy będą zjednoczeni".

Zapewne — będziemy świadkami wielu jeszcze wahań i wielu bolesnych doświadczeń, zanim te uczucia, które budzi w sercach włoskich i francuskich poezja kochanka Laury i jego humanizm, wywołują potężny ruch w umysłach i znajdą wyraz w realnem życiu politycznem. Dziś przytłumia je łatwo rozgwar brutalnych interesów i sekciarskich zapędów. A jednakże od ich zwycięstwa, od zszeregowania się pod sztandarem obrony wspólnej spuścizny dziejowej zależy uratowanie kultury europejskiej, będacej w naszem przeświadczeniu najpiękniejszym i najpełniejszym kwiatem życia zbiorowego ludzkości.

STANISŁAW KOZICKI

WIELKA WOJNA I FORMACJE WOJSKOWE

NA trzy tygodnie przed szturmem niezdobytych, zdawało się, umocnień i twierdz na linji Hindenburga, wśród ciągłych walk i przygotowań do końcowego wysiłku w gigantycznej bitwie, marszałek Foch pisał 1 września 1918 roku przedmowę do piątego wydania swej książki „*Des principes de la guerre*" i taki dał w niej obraz wojny nowoczesnej:

„W r. 1918, już nie mówiąc o warunkach moralnych: celach i sposobach wojny, które wyprowadziły na widownię bezbronną dotychczas część ludności, a tem samem duszę całego narodu, lecz poprostu dzięki postępom w uzbrojeniu i rozwoju przemysłowym, sztuka wojny uległa głębokim przeobrażeniom. Kulomiot i drut kolczasty pozwoliły na szybkie budowanie ośrodków oporu, które wykazały bezsprzeczną wartość. Rowom strzeleckim lub naturalnym przeszkodom nadały trwałość i moc, które pozwolą na rozciągnięcie frontów obronnych na przestrzeń, dotąd zgoła nieoczekiwaną, zatem w wyniku ostatecznym na szybkie zorganizowanie rozległego systemu obronnego, łatwego do utrzymania. Ofenzywa chwilowo ubezwładniona szukała nowej broni. Zbudowała potężną artylerję, zorganizowała czołgi, te kulomioty lub armaty równocześnie opancerzone i samochodowe, zdolne w każdym terenie do zapanowania nad drutem kolczastym i kulomiotem nieprzyjacielskim. Obok produkcji dział i zużycia amunicji w ilościach dotychczas zupełnie nieznanych, stała się konieczną produkcja innych sprzętów bojowych, wymagająca wciąż nowej ilości stali.

Tem samem potęga przemysłowa narodu jedynie pozwalała armjom pójść do ataku, a brak tej potęgi ograniczał armje do postawy obronnej z tego samego powodu, co ilość ich żołnierzy.

Lotnictwo, dzięki olbrzymim postępom techniki, otwarło obszar powietrzny: zapewnia ono panowanie nad komunikacjami oraz działaniami powietrznemi temu z przeciwników, który jest lepiej i potężniej uzbrojony. Oto nowe wezwanie do przemysłu.

A również wytwarzanie pocisków trujących i wszelkiego materjału, którego wymagają armje coraz to liczniejsze, a stąd coraz to trudniejsze do wyżywienia, rozmieszczenia, transportu, oplera się o przemysł. Jeszcze więc raz wydolność przemysłowa jednego z przeciwników określa, bodaj w części, potęgę jego armji. Jak widać są to nowe warunki sztuki wojny, którą się porowadzi zapomocą sposobów nowych. Tedy rzec można, że jest to sztuka nowa...

Mimo to, prawdy podstawowe (*les vérités fondamentales*), które tą sztuką rządzą, pozostają niewzruszone, podobnie jak zasady mechaniki rządzą architekturą, czy to będzie budowa z drzewa, z kamienia, z żelaza lub żelbetonu, tak samo, jak zasady harmonji rządzą muzyką bez względu na jej rodzaj. Zawsze tedy potrzeba ustalić zasady wojny — *Les principes de la guerre*"

Oto, jak zwięźle, zawsze oszczędny w słowach, w pełnej bitwie pisał wódz, który wojnę światową nietylko przeżył na froncie, nietylko urabiał nowe kształty walki, by powstrzymać nawałę niemiecką w najbardziej krytycznych chwilach, lecz który przedewszystkiem doprowadził wojnę do zwycięstwa wówczas, kiedy „niewzruszone zasady" każdej wojny mógł wcielić w czyn i na nich oprzeć ostatnią, czteromiesięczną, decydującą bitwę największej z wojen.

Długo na to czekano.

Zanim myśl odzyskała swe prawa nad materją i zdołała skutecznie użyć potęgę miljonowych armij, różnorodności broni, zabezpieczyć i skoordynować z potrzebami frontu i wnętrza kraju wysiłek produkcji państw walczących, zanim osiągnięto niezbędną przewagę czynnika ilościowego w materjale wojennym i rezerwach ludzkich po stronie sprzymierzonych, zanim wreszcie, wiadomo wśród jak tragicznych okoliczności, powrócono do owej niewzruszonej zasady, jaką jest jedność dowództwa, by wrogowi módz przeciwstawić wysiłek celowy, jednolity, synchroniczny, zamiast trwać w rozproszeniu wysiłków i w grzechu marnotrawstwa krwi i życia ludzkiego — ubiegło zgórą trzy i pół lat, gdy wreszcie wszystko to stało się rzeczywistością i jasno zrozumiałą prawdą.

Dopiero wówczas armje sprzymierzonych, szeroko

rozpostarte na olbrzymich frontach, umiejętnie związane z naczelnem dowództwem, ożywione jedną myślą, zjednoczone jedną wolą w wykonywaniu planu, starannie przygotowanego, przy użyciu taktyki przezornej i skutecznej, stawały się w rękach naczelnego wodza młotem, który zdruzgotał potęgę Niemiec i ich sojuszników.

*

Im dalej stoimy od Wielkiej Wojny, tem większe rozmiary przybiera ten kataklizm dziejowy o niezwykłym przebiegu, zawierający wiele nauk na przyszłość, a nawet przestróg już w czasie rozwoju wypadków wojennych.

O wyjątkowym charakterze wojny zdecydowała „równowaga bojowa“, kiedy, po okresie walk ruchomych w końcu 1914 r., wojna zacięła się na ustalonych frontach. Wówczas wystąpiło, z każdym miesiącem wyraźniej, zjawisko wyczerpania rezerw ludzkich i zasobów materjalnych, niezależne poniekąd od inicjatywy wodzów, jak złowrogi cień snujące się zarówno za zwycięscą, jak i za zwyciężonym. Kto w czas obejrzał się za tym cieniem, ten wstąpił na właściwą drogę zwycięstwa. Niemcy obejrzeli się po raz pierwszy w listopadzie 1916 r., licząc na pomoc Polski, obejrzeli się po raz drugi w październiku 1918 r., lecz było już zapóźno.

Uzupełnienie materjału wojennego jest zapewnione, lecz ludzi brak, powiedziano na naradzie u kanclerza. Na zachodzie decyduje brak ludzi (*Im Westen entscheidet Mannschafts mangel*)“ [1]).

Wyczerpanie było zjawiskiem wtórnem równowagi bojowej.

Ludzie, pisze W. Pareto, zazwyczaj niesłusznie odnoszą pojęcie równowagi do klasy tych pojęć metafizycznych, gdzie króluje dobro, prawda i piękno. Wynikają stąd koncepcje śmieszne i obce istocie zjawisk rzeczywistych.

W wielkiej wojnie utrzymanie bojowego napięcia na frontach w stanie równowagi, którą usiłowano za wszelką cenę złamać, by skończyć wojnę, odbywało się kosztem miljonowych ofiar w ludziach, ograniczenia potrzeb ludności cywilnej, zniszczenia bogactw, a gdy wreszcie równowaga ta została zniweczona w ostatniej bitwie pod dowództwem marszałka Foch'a, nastąpił szereg głębokich przeobrażeń politycznych, społecznych oraz katastrof gospodarczych w Europie.

Już w czasie trwania walk, po upływie półtora roku wojny, można było stwierdzić, że maksymalny wysiłek państw walczących był niezbędny dla utrzymania przygniatającego ciężaru frontu tak, że pozostawał on, rzec można, w stosunku prostym do zasobów materjalnych i do narodowej masy w wieku wojskowym. Wśród innych warunków równych, średnia szybkość strat bezpowrotnych okazała się proporcjonalną do długości frontu, a tem samem pośrednio do całej rezerwy męskiej, będącej w danej chwili do dyspozycji. Z drugiej strony, szybkość powołań, któremi uzupełniano straty bezpowrotne na froncie celem utrzymania wojennego napięcia w stanie trwałym i z których tworzono siły dla wyrwania walki z tego stanu beznadziejnej równowagi bojowej, okazała się wielkością, pozostającą w stosunku prostym także do każdoczesnej dyspozycji mężczyzn w wieku wojskowym. Na porównaniu obu szybkości: bezpowrotnego ubytku mężczyzn zdatnych i przyrostu ich z poborów, można było określić szybkość, z jaką Niemcy gromadziły zdatnych pod broń, oraz zawczasu przewidzieć ten punkt krytyczny w ewolucji ich rezerw, który wystąpił jesienią 1916 r. gdy sztab generalny niemiecki na szczycie swej potęgi militarnej już troszczył się o rezerwy i usiłował wydobyć armję polską z Kongresówki. Wczas zdołano przestrzedz tę dzielnicę przed polityką, która, dziś jest jasne, prowadziła do katastrofy [2]). Gdy, pomimo wysiłków, stan równowagi trwałej na frotach nie dawał się przełamać, przejęto się myślą, że zasoby materjalne wyczerpią się rychlej, niż rezerwy ludzkie. Rozgorzała wojna gospodarcza, która miała skrócić rzeź i przez blokadę pośrednio wymusić decyzję.

Rosja odparta na front Ryga-Bałkan, mimo swych olbrzymich rezerw, odcięta blokadą Bałtyku i zamknięciem Bosforu, mogła otrzymywać dostawy od sprzymierzonych przez Białe morze i Murmań. Własne siły przemysłowe Rosji nie były wystarczające dla zaopatrzenia wielomiljonowej armji, a jej środki żywności były już skąpe, o czem mogli się przekonać Niemcy po pokoju brzeskim. Przewrót bolszewicki, umiejętnie wywołany, do reszty obezwładnił Rosję.

Po klęsce Rosji, Niemcy przeciw aljantom zwróciły pozafrontową broń gospodarczą. Nastąpiła bezwzględna walka łodziami podwodnemi, co wywołało z kolei odruch Stanów Zjednoczonych, będących głównym dostawcą w wojnie. Straty w tonażu, np. wiosną 1917 r. były przerażająco wielkie. Odpowiedzią na to było jednak takie wzmożenie wytwórczości stoczni okrętowych, że tonaż nowy przekraczał ilość ton zatopionych. Wspomnieć też można o skutecznym użyciu zwykłych łodzi rybackich do walki z podwodnemi. Tak więc kontrblokada wymierzona przez Niemców przeciw sprzymierzonym nie powiodła się. Ameryka przewoziła bez przeszkód swe olbrzymie zapasy i armje. W tym czasie wyżywienie ludności w państwach centralnych stawało się coraz trudniejsze, brak surowców coraz dotkliwszy. Ludność jednakże okazała się niezwykle odporna, a w dodatku nad wyrównaniem braków materjalnych pracowała nieustannie i nieraz skutecznie twórcza myśl.

Rachuby na złamanie fatalnej „równowagi“ na froncie i uzyskanie rozstrzygnięcia w drodze wyczerpania zasobów materjalnych zawiodły. Można to było zresztą z góry przypuszczać. Zboże bowiem rośnie rok, człowiek—lat 18. Tem samem wśród wyczerpania wszelkich wartości, wyczerpanie rezerw ludzkich zadecydowało o klęsce państw centralnych.

Tak jak wojna światowa, oparta o proces wyczerpania, była różną od poprzednich, tak zakończenie jej niepodobne jest do przebiegu wypadków pod Jeną lub Sedanem. Było zwycięstwo, nie było pogromu, jaki się zapowiadał.

Dnia 11 listopada nie stanęła na ziemi niemieckiej stopa zwycięscy. Nie wzięto stolicy. Cała administracja pozostała nietknięta, flota w portach nienaruszona, armje zachowały łączność. A mimo to Niemcy prosiły o pokój, oddawały swe uzbrojenie, statki wojenne i gotowe były przyjąć wszystkie upokarzające warunki, odstąpić wielkie obszary swych ziem na zachodzie i wschodzie, które zadecydowały ongiś o potędze Prus.

Wojska niemieckie w pełnym szyku wracały z frontu. Wszelkie pozory przemawiały przeciw możliwości klęski i konieczności przyjęcia upokarzających

---

[1]) *Vorgeschichte des Waffenstillstandes*. Protokół № 57. Beln 1919).

[2]) Stefan Dąbrowski: „Walka o rekruta polskiego pod okupacją“ (1922) oraz „*Les Empires Centraux et la lutte pour le recrutement polonais. Préface du gén. Niessel*“ (1924 Chiron Paris).

warunków. Istota klęski, rozumiana przez sztaby generalne, nie mogła być docenionia przez ogół obywateli. Stąd zupełna konsternacja opinji w Niemczech, okłamywanej stale i do końca przez rząd, który sam zresztą zbyt późno ujrzał istotne przyczyny przegranej. Stąd także najgłębsze rozczarowanie, które było podłożem rewolucji.

A klęska była zupełna i potrójna: wynikła z całkowitego wyczerpania w kraju roczników, zdatnych pod broń, z zupełnego zużycia rezerw frontowych, z militarnej klęski na froncie. Oczy fizyczne widziały tylko łudzące pozory, które odwracały myśl o katastrofie. W tem właśnie znalazł jaskrawy wyraz nowy charakter wojny światowej w jej końcowym okresie, gdy złamano wreszcie równowagę bojową na frontach, ustaloną nieprawdopodobnym i nieznanym w historji wysiłkiem narodów. Wysiłek był gigantyczny.

Wyobraźmy sobie bowiem front, na którym dniem i nocą, w ciągu pięćdziesięciu jeden miesięcy, walczą armje piętnastu miljonów ludzi. Olbrzymie straty uzupełnia dopływ rezerw, armje mają zapewniony stan pełny. Mimo nadludzkich wysiłków, napięcie bojowe przeciwników pozostaje w równowadze. Ulegają zniszczeniu wielkie zasoby, których dostarcza armjom 55 miljonów robotników, zajętych wyłącznie wewnątrz kraju wytwarzanie i transportem tego wszystkiego, co jest niezbędne dla zaopatrzenia i wyżywienia frontu, a równocześnie narody ograniczają spożycie do fizjologicznego *minimum* lub poniżej tej granicy, poświęcają swe oszczędności, znoszą niedostatek dla podtrzymania walki na froncie. Wreszcie ubytek rezerw i ich zniszczenie są takie, że armje na froncie nie mogą udźwignąć rynsztunku nowoczesnej wojny. Ta armja, która czuje się osamotnioną, zawieszoną w próżni, pozbawioną dopływu rezerw, skazaną na bezwzględne topnienie — musi uledz. Bilans takiej wojny zamyka się stratami w ludziach, które według Międzynarodowego Biura Pracy wyniosły 9 miljonów zabitych i zaginionych oraz 6 miljonów inwalidów. W tem liczba polaków, którzy padli na pobojowiskach w armjach zaborczych wynosi według moich obliczeń z górą pół miljona[1]). Ponadto 100 miljardów dni roboczych poświęcono wojnie i dziełu zniszczenia[2]).

* * *

Wojna, wywołana przez Niemcy w celu zapanowania nad światem, zakończona została faktem zdumiewającym:

„Wśród wyników wojny i układów pokojowych, niema może ani jednego, któryby przodkom naszym większą sprawił radość lub w większe wprowadził zdumienie, aniżeli zmartwychwstanie Polski".

Tak powiedział swym rodakom, w styczniu 1920, znany w Polsce amerykanin, czynny członek Konferencji Pokojowej w Paryżu, historyk naszej doby rozbiorowej, protestant prof. R o b e r t H. L o r d, dziś katolik, O j c i e c L o r d S. J.

„Zmartwychwstanie Polski — mówił dalej — oznacza coś więcej, aniżeli samo odżycie państwa które istnieć przestało: jest ono triumfalną naprawą największej zbrodni politycznej, jakiej świadkiem była Europa, jest wskrzeszeniem zasad sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych[3])".

O tych zasadach przypominano sobie w ciągu lat wojny. Tylko jej długiemu trwaniu zawdzięczyć należy odbudowę państwa polskiego w jego obecnych granicach, jak słusznie napisał czujny, niezłomny, dalekowzroczny, główny twórca polityki polskiej w tym okresie, R o m a n D m o w s k i.

W każdej nowej fazie wojny, przy każdem bezskutecznem usiłowaniu załamania równowagi bojowej na frontach, problem Polski w coraz pełniejszem wysuwał się świetle, jego rozwiązanie stawało się bliższe, coraz głębsza zjawiała się świadomość, którą skutecznie budził Komitet Narodowy w państwach zachodnich Europy i w Stanach Zjednoczonych, że odbudowanie Polski jest konieczną potrzebą, niezbędnym czynnikiem równowagi politycznej i moralnej Europy.

Polska, która powstała wśród powszechnego kataklizmu, wśród własnych zgliszcz, pobojowisk, ruiny całych pokoleń, zaprzęgniętych do znoju wojennego, jest niejako odpowiedzialna, aby krwawa ofiara nietylko jej własnych dzieci w armjach zaborczych i formacjach ochotniczych, nietylko hekatomby sojuszników, lecz wreszcie nawet jej wrogów, stały się trwałą podwaliną ładu i pokoju w nowym układzie Europy. Świadomość tej myśli tkwi głęboko w chrześcijańskiem sumieniu narodu polskiego.

Naród polski, najbardziej zagrożony w swym bycie, nie powinien zapominać tego kataklizmu wielkiej wojny, w którym ścierały się siły tak wielkie, tak różnorodne, o tak donosłych skutkach, że przeszły najśmielsze wyobrażenie współczesnych. Na tym obrazie wielkiej wojny kształcić się winien nieustannie zmysł rzeczywistości w Polsce odrodzonej, zachwiany tak głęboko suggestją prasy i pychą jednostek tyle niebezpieczną, ile nieuzasadnioną.

Zapewne, że dziś z czcią pochylamy czoła i ogarniamy sercem te liczne mogiły żołnierzy polskich, którzy padli na pobojowiskach wielkiej wojny zarówno w armjach zaborczych jak i w formacjach ochotniczych polskich. Wszyscy oni szli w ogień albo dobrowolnie i wiedy w przekonaniu, iż idą po drodze właściwego obowiązku, albo z przymusu, ale nawet wówczas conajmniej z jakiemś niejasnem przeczuciem, że ofiara polskich serc, opiętych w mundury zaborczych armij, nie szła całkowicie na marne dla Polski. Czy ta niejasna świadomość celowości tej wielkiej ofiary wojennej i to w walce bratobójczej, która była ostatnim krwawym aktem tragedji rozbiorów i niewoli Polski, czy ta niejasna świadomość, powtarzam, nie była bliską prawdy? Dziś dopiero możemy powiedzieć, że tak, i po stwierdzeniu tego zciszyć serca przed miłosierdziem boskiem, które chciało, aby pół miljona polaków, którzy padli na pobojowiskach wielkiej wojny w armjach zaborczych i w walkach bratobójczych, ciężarem swej ofiary przechyliło szalę sprawiedliwości dziejowej na stronę Polski. Albowiem dwa i pół miljona polaków, którzy walczyli w armjach zaborczych, swym trudem wojennym podtrzymywało stan bojowego napięcia na frontach, przedłużało stan katastrofalnej równowagi bojowej, a tem samem przedłużali oni trwanie wojny. To było wprawdzie nieszczęście dla dziesiątków miljonów rodzin, ale dopiero trzeba było takiego nieszczęścia, aby wśród powszechnej katastrofy i przy najwyższem napięciu sił, na granicy ich ostatecznego wyczerpania, zrozumiano wreszcie konieczność rozwiązania problemu polskiego w możliwie pełnym programie zjednoczenia ziem i niepodległości naszego Państwa. Dlatego też ofiara pół miljona polaków w bilansie całości wojny i jej politycznych skutków n i e b y ł a o f i a r ą z m a r n o w a n ą.

Czy ten fakt nie jest doprawdy jednym z tych, w którym niejako palcem dotykamy rzeczywistości nadprzyrodzonej i niedoskonałością swego rozumu zaczynamy pojmować moralny sens tego świata? Formacje polskie, nawet armja hallerowska i korpus Dow-

[1]) *Loc. cit.*

[2]) F. Delaisi. *„Les Contradictions du monde moderne"* (1925, Payol).

[3]) Robert H. Lord „Polska" Odczyt o konferencji pokojowej w tłum. J. Kasprowicza (1921, Książnica Polska).

bora Muśnickiego, którego rozwój w wielką armję polską w Rosji zahamowała solidarnym wysiłkiem lewica po obu stronach frontu, formacje te były zbyt nieliczne, by mogły się stać czynnikiem realnym pod względem wojskowym i zaważyć na losach wielkiej wojny. Wszystkie one miały znaczenie raczej symboliczne. Były wruszającym dowodem potęgi idei narodowej, zapowiedzią armji, jej składnikami niezbędnymi, warunkiem jej powstania. Jednakże w czasie Wielkiej Wojny

„W przededniu odbudowania państwa — polacy walczyli i przymusowo i dobrowolnie w równej sile po obu stronach. Co po jednej stronie zrobili, po drugiej odrobili. Skutkiem tego nasz wysiłek bojowy nie wpłynął na losy wojny i nie mógł zdobyć niepodległości dla Ojczyzny[1])".

Formacje polskie, pamiętać o tem należy, nie zawsze były formacjami tylko wojskowemi, posłusznem narzędziem pewnej polityki, której się podporządkowały. Niektóre z nich, zbyt zapatrzone w świetne militarne wzory niemieckie, zapomniały jednak o zasadzie starego teoretyka niemieckiej doktryny wojskowej, Clausewitza, że „polityka zrodziła wojnę, że zatem polityka jest mózgiem, wojna tylko narzędziem, nie zaś odwrotnie". Te formacje rychło stały się z wojskowych politycznemi i zaczęły dążyć do władzy w narodzie w ten mianowicie sposób, że polityczne stanowisko narodu, tak niesłychanie trudne w czasie wielkiej wojny, zlekceważyły i podporządkowały „czynowi zbrojnemu", który, siłą tradycyi romantyzmu w polityce, oderwano od rzeczywistości wojennej i twórczej, przewidującej myśli politycznej. Tu tkwił błąd zasadniczy i zarazem niebezpieczeństwo.

„Czyn" był pod względem ilościowym zbyt nikły, by mógł zaważyć na losach wojny. A jednak suggestywna reklama prasy, sprawna organizacja podatnej na romantyzm powstańczy opinji, wreszcie niepohamowana żądza sławy, doprowadziły zanik poczucia miary i zmysłu rzeczywistości do potęgi mistycznej wiary w legendę, iż ułudą siły, jaką był ów „czyn zbrojny", wyzwolono Polskę z niewoli i zdobyto Jej niepodległość.

Niedorzeczna zasada podporządkowania stanowiska politycznego wojskowemu srodze zemściła się na jedności armji narodowej. Rozpaliła ona chęć władzy politycznej w wojsku i doprowadziła do głębokich wstrząśnień w Państwie za każdym razem, gdy za „czyn zbrojny" z doby wielkiej wojny, wciąż nanowo przypominany, żądano coraz większej zapłaty w postaci wyłącznej władzy w niepodległej Polsce, aż doprowadzono wkońcu do przewrotu wojskowego i faktycznej dyktatury.

Należy gorąco pragnąć, aby w przyszłem dziesięcioleciu powrócono w Polsce do owych niewzruszonych zasad, na jakich się opiera idea armji narodowej, która została zachwiana w czasie rewolucji wojskowej w maju, kiedy przysięgę złamano, a w dodatku to złamanie usprawiedliwiono.

Armja narodowa stanowi zbrojne ramię rządu do obrony granic Rzeczypospolitej przeciw wszystkim Jej nieprzyjaciołom.

„Nieprzyjacielem jest,—powiada regulamin nasz służby wewnętrznej z r. 1924, dotąd obowiązujący, — nie tylko obce państwo, godzące w całość, niepodległość i godność Rzeczypospolitej. Nieprzyjacielem są także wrogie państwu czynniki wewnętrzne, dążące do obalenia przemocą praw, ustroju państwowego, ładu społecznego, ustalonego konstytucją".

Jeżeli wszystkie formacje polskie z czasów wielkiej wojny, wspominając dni swojej chwały, zachowają umiar sądu i poczucie rzeczywistości oraz zrozumienie tego straszliwego kataklizmu, w którym brały udział, i który może się powtórzyć, to wówczas zdołają się przejąć nie tyle małostkowem współzawodnictwem i przeżuwaniem martwej przeszłości, lecz wielką i żywą ideą armji narodowej. Armja polska, silna jednością, wolna od politycznego nacisku, choćby to był nacisk partji, znanej pod eufemiczną nazwą „bezpartyjnej współpracy z rządem", stanie się dopiero prawdziwą ostoją narodu polskiego i osłoną granic Rzeczypospolitej.

Poznań. STEFAN DĄBROWSKI

PAJĄKI

(Pierwowzór podatku obrotowego)

WRÓCIWSZY kiedyś z sesji sejmowej do Krakowa, mając jeszcze pełne uszy rozpraw o „sanacji skarbu", o etetyzmie i wolnym handlu, o interwencji rządowej i fiskalizmie, jąłem przerzucać stare odpisy archiwalne nagromadzone w ciągu lat. Wpadł mi wtedy do rąk pewien list pochodzący z nieświeskiego archiwum XX. Radziwiłłów. Czytelnik osądzi, czy nie ma on pewnej cechy aktualności.

Rzecz się dzieje w roku Pańskim 1747. Światły pan koronny, Stanisław Poniatowski, wojewoda mazowiecki, ojciec ostatniego króla, pisze do ciemnego magnata litewskiego, hetmana Michała Kazimierza Radziwiłła, ze Złoczowa, 10 lutego. Z tego co pisze, widać, że mu litwin wypuścił w dzierżawę dochody z jarmarków złoczowskich, za co Poniatowski przyrzekł doprowadzić miasto do kwitnącego stanu. Niestety, zastał na miejscu stan prawny i faktyczny zabagniony do najwyższego stopnia:

„Je respecte trop vos volontés, Monseigneur, pour ne m'y point conformer, sans aucun égard à mes propres intérêts préférant toujours les vôtres. En arrivant ici, j'ai trouvé les contrats de Votre Altesse, signés à Zółkiew aux juifs arendateurs des années passées contre la teneur de celui que Votre Altesse m'a accordé de faire les miens et toutes les dispositions économiques selon que je les trouverai nécessaires et à moi avantageuses. Mon dessein et mes idées étaient de vous remettre un jour votre ville de Złoczów florissante par la liberté du commerce et par les établissements avantageux à vos sujets; mais, Monseigneur, comme les points qui sont nsérés dans le contrat des juifs la menace de la dernière ruine, ma conscience m'oblige de vous avertir de tous les abus.

Je sais, qu'en les abolissant je me ferai tort moi-même et je diminuerai mon revenu, mais comme je ne démande point de Votre Altesse ni ne demanderai aucun dédommagement, permettez, Monseigweur, que je vous les représente en raccourci sans les détailler, crainte de vous en ennuyer et que je fasse quelque réglement pour la conservation de vos propres sujets, sans changer l'arendateur pour cette année ayant de la vénération pour votre signature.

Co krótko *sur le billet à part* wyraziwszy, ściskam nogi W. Ks. Mości Dobrodzieja *et suis avec respect et attachement inviolable etc.* W Złoczewie 10 *de fevrier* 1747.

J'ouvre me lettre, pour témoiguer à V. A. ma joie de ce que j'aurai l'honneur de vous faire ma cour à Brody, selon que Mr. Sędzia *m'assure qu'il passe par ici avec la belle et*

[1]) Roman Dmowski. „Polityka polska i odbudowanie państwa". p. „Zamknięcie".

charmante Rybeńka, której mało nie utopili w błocie, wywróciwszy ją z karetą".[1])

Dalej jeszcze jedno *post scriptum* o potrzebie drzewa na naprawę cieknącego dachu w zamku złoczowskim. Na osobnej karcie czytamy:

„P. S. *Une petite détaille* (sic) *en raccourci de ce qui se passe dans les domaines de V. A.*, *me trouvant par hazard* na jarmarku i targu złoczewskim, inszych dóbr nie widziałem to nic o nich nie nadmieniam.

Nie widząc na tym pospólstwa zjeździe nad dwanaście albo piętnaście wózków, kiedym się spytał o przyczynę tak mizernego handlu, a w tak obszernem mieście, odpowiedziano mi, że tu niedługo i tego nie będzie, jeżeli dłużej te zdzierstwa od arendy, które są, będą, — kiedy tak kupujący, jako i przedający, tak przyjeżdzający, jako i odjeżdżający, tak przywożący, jako i wywożący, jako też i przejeżdżający a nie zatrzymujący się, musi nieznośne płacić myta i akcyzy tak od wszelkiego zboża, jako i od kupców lub składających towar lub przejeżdżających, wołów, koni, soli, od której i ogółem pieniędzmi, i solą *a parte* płacił muszą, od każdej i największej i najmniejszej bryki przechodzącej, od każdego nawet wózka próżnego po chleb albo jaką żywność przyjeżdżającego, a dopieroż od handlującego, od każdego koła naczynia bednarskiego, lubo razem odmycone bywa. Od najmniejszej furki drew, siana, słomy, od najmniejszego kurczęcia, gąski, prosiątka, bydlątka, jagnięcia i tam wyżej, od najmniejszej koszałki, którą baba przyniesie, a jeżeli w niej co, nawet i dziesiątek jajec, i od nich *a parte* płacą. Oprócz tego, tak nieznośną akcyzę wybierając, wszędzie po wsiach na trakcie będących, gdzie najmniejsza karczemka stoi, wszystkie osobliwe wybierają myta; dlatego też kupcy trakty poodmieniali i więcej tędy nie przechodzą, ile że się to nikędy nie praktykuje, tylko od Żydów W. Ks. Mości. Jakoż poddaństwo srodze tu zubożone i zmizerowane."

Czy Radziwiłł posłuchał dobrych rad, czy Poniatowski zdołał przeprowadzić zbawienną reformę, nie wiemy. Miasteczko w r. 1754 częściowo zgorzało, potem przyszedł wielki pożar Rzplitej, a po rozbiorze przyszli inni reformatorzy, austrjacko-józefińskim, nie polskim, przejęci duchem.

Cóż dodać do tego obrazu, ilustrującego, niestety, tragedję mieszczaństwa polskiego nie tylko w „państwach" radziwiłłowskich, ale i wielu innych owego czasu?

Tadeusz Korzon wyraził zdanie, że gospodarka społeczna dawnej szlachty oparta była na zasadach fizjokratycznych, bo popierała rolnictwo nie handel ani przemysł. W istocie jednak francuscy fizjokraci żądali ulg i udogodnień dla drobnych dzierżawców rolnych, jako właściwych producentów zboża, a nie dla właścicieli ziemskich. Nasz „fizjokratyzm" wzbogacał dziedzica, a zaniedbywał chłopa-oracza. Również dobrze możnaby powiedzieć, że staropolska polityka handlowa była merkantylistyczna, bo faworyzowała handel — ale żydowski. Skonstatowali to nawet obcy, austrjaccy urzędnicy, którzy po zajęciu Galicji badali stosunki złoczowskie i w innych miastach. Cesarz Józef, błogosławionej dla żydów pamięci, także obmyślał dla nich radykalne, nieprzystosowane do życia reformy. Urzędnicy na miejscu próbowali zbliżyć ten program do życia: chciano żydów usuwać od arend lecz zrozumiano, że w takim razie wypadnie ich poprostu wydalać z kraju. Tak pisał w szczególności starosta złoczowski Thannhauser. Próbowano ich pakować na wozy — i wysypywać za kordon, do Polski. Naprożno: wracali!

Słowem niema doktryny, któraby w rozumnem zastosowaniu nie przyniosła krajowi choćby jednostronnych korzyści, a w głupiem ujęciu — szkody. Żadna jednak doktryna nie mogła i nie może usunąć na ziemiach polskich dylematu: Polska czy Judeopolska.

Kraków WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

[1]) Widocznie jakiś sędzia ziemski czy grodzki opowiadał Poniatowskiemu w Złoczowie, że Radziwiłł jedzie do swych ruskich dóbr i że owa „Rybeńka", niewątpliwie pani hetmanowa litewska, miała niemiłą przygodę w drodze.

UCZTA KOZŁA I ŚWIĘTO DZIADÓW

(Dokończenie)

II

CZYTAJĄC te opisy, musi się mimowoli przypomieć uwagę Mickiewicza, uczynioną o „Dziadach, że „obrzędy pogańskie pomieszane są (tam) z wyobrażeniami religji chrześcijańskiej". Istotnie również i uczta kozła, przynajmniej w formie, przekazanej przez wspomnianych kronikarzy, wydaje się konglomeratem dwu—by się tak wyrazić—liturgij, dwóch obrzędów, wspartych o dwa bardzo sobie odległe światy wierzeń. Cały mianowicie ceremonjał spowiedzi i oczyszczenia z grzechów, opisany przez Grunaua, jest niewątpliwie nawarstwieniem chrześcijańskiem (tak go też interpretuje David) na jakimś pradawnym, pogańskim wątku obrzędowym. Wątek ten zaś, taki element rudymentarny pierwotnej treści, dostrzec można nawet w tym konglomeracie. Odsłania się on w zakończeniu uczty, w owem zakopywaniu resztek jej do ziemi[1]) w ten sposób składano je w ofierze bóstwu ziemi. Wnosimy stąd, że cała uczta ofiarna odbywała się pierwotnie i właściwie na cześć bóstw chtonicznych, w szczególności na cześć boga urodzaju. Oczywiście w tym charakterze staropruska uczta kozła ma bardzo odległe i rozległe pokrewieństwa. Podobnież w Grecji składano kozła w ofierze Dionyzosowi, opiekunowi winnic; i wogóle bóstwom chtonicznym, to znaczy zarówno bóstwom uprawy roli, jak i właściwym bogom podziemi.

Ustaliwszy sobie zasadniczy charakter ofiary kozła i jej cel, możemy już łatwo osadzić ją w czasie. Kiedyż, w jakiej porze roku ona się odbywała? Głucho o tem u kronikarzy niemieckich. Nietrudno jednak przypuścić, że ofiarę tę, dziękczynną i błagalną zarazem dla boga urodzaju, składano po zbiorach, a zarazem w okresie zasiewów jesiennych, że ją wiązano ze świętem dożynek. Potwierdzenie całkowite co do tego znajdujemy u Łasickiego. Opis uczty kozła, powtarza się i w jego dziele „*De diis Samagitarum*" (Bazylea 1615); w szczegółach pokrywa się on tam całkowicie ze znanemi nam już, bogatszy tylko o tę jedną wskazówkę: czasu. Według tego obrzęd odbywał się po żniwach. „Facta autem messe, solenne sacrificium pro gratiarum actione conficiunt, quod ruthenica lingua *Ozinek*, id est consummatio messis, dicitur. In hoc sacrificio Sudini Borussiae populi... capro litant".[2]) Zaznacza wszelako Łasicki, że ofiarę kozła składano przy tej okazji tylko u starych Prussów; na Żmudzi zaś składano w ofierze chleb, piwo, ze zwierząt domowych: świnie, najczęściej zaś koguty[3]), wszystko to

[1]) Że stanowiło to integralną część obrzędu, poświadczają nam różne inne źródła; podaje to Łasicki, podaje i Brückner („Starożytna Litwa", Warszawa 1904, str. 49), idąc za niemieckim pisemkiem H. Maleckiego (ok. r. 1562).

[2]) Wyd. bazyl., str. 54.

[3]) To znaczy tak jak w reszcie Polski i wogóle u Słowian. Bystroń („Zwyczaje żniwiarskie w Polsce", str. 79) zaznacza za Narbuttem, że ofiarę kozła przy uroczystościach dożynkowych składało się tylko na Litwie.

ofiarowywano tam bogu Ziemiennikowi.[4]) Tutaj święto nazywało się Ilgi, obchodzono je zaś drugiego listopada, w dzień Zaduszek[5]).

Wiemy w ten sposób o uczcie kozła mniej więcej wszystko, znamy sens tego obrzędu, jego przebieg i czas. Tyle też mógł wydobyć z kronik Mickiewicz w toku swych studjów antykwaryczno-historycznych. Studja te, acz podjęte dawniej, zyskały (jak już o tem była mowa) na intensywności, zwłaszcza w roku 1822, kiedy poeta w bogatym księgozbiorze szczorsowskim pracował nad „Grażyną". Wtedy też otwarły mu się dopiero oczy na właściwe znaczenie, na dawność i czcigodność tego pojawu folklorystycznego, z którego przed dwoma laty wyciągnął był osnowę „Dziadów". Bo i o obrzędzie Dziadów, jako o zabytku dawnych czasów i wiar, mógł był czytać u tychże kronikarzy. Biorąc zeń ongiś podnietę poetycką, podjął go był jak zwykłą niby grudę ziemi, zaciekawiającą kształtem nieco osobliwym—aż oto obtarłszy ją z powłoki, przejrzawszy wskroś, znienacka zdumiewa się radośnie, bo widzi, że trzyma w ręku kawał bursztynu, do tego okaz szczególnie cenny, z zamkniętym wewnątrz od wieków odłamem dawnego życia. W ten sposób, dzięki pracy nad „Grażyną", nasyciła się koncepcja „Dziadów" nowym dopływem treści. Rozumiemy więc, że te dwa, tak różne gatunkowo, utwory mogły stać obok siebie w jednym tomiku; w rozumieniu poety związane były między sobą wzajemną, głęboką spójnią, miały wspólną podbudowę antykwaryzmu. Widać zarazem, dlaczego to u wstępu staraliśmy się tak wyraźnie podkreślić współczesność wykończania „Grażyny" z wygotowaniem tak doniosłych dodatków do tekstu „Dziadów" cz. II.

Ale wracając jeszcze do uczty kozła, pytamy się: dlaczegoż to poeta związał ją, utożsamił z obrzędem Dziadów; boć przecież za przejaw najwyraźniej identyczny uważa on ją właśnie w drugiej redakcji „Przedmowy". Tymczasem w znanych mu świadectwach historycznych nie dałoby się znaleźć podstawy do tego rodzaju utożsamienia. Obrzędy oba różne są najwyraźniej i to zarówno przebiegiem jak i przeznaczeniem; każdy z nich jest innym przejawem rytualnym. Z drugiej strony wyłączona również wydaje się tutaj pomyłka, niemożliważ przy tak drobiazgowem i sumiennem studjum starożytności litewskich, jak je naówczas przeprowadzał Mickiewicz. Więc skądże?

Niewątpliwie, pewne zbieżności dadzą się stwierdzić między ucztą kozła a Dziadami. Przedewszystkiem chronologiczne. Oba obrzędy przypadały na tę samą porę roku, niemal na te same dni; Łasicki mówi wyraźnie, że je odprawiano „iisdem feriis", mianowicie na granicy października i listopada. Powtóre można się dopatrzeć pewnego pokrewieństwa i w samej istocie obu tych ofiar. Przecież i zmarli to także pewnego rodzaju bóstwa chtoniczne, duchy opiekuńcze zagród, pól i dobytku; stąd w Dziadach również zachodzi często, w różnych stronach, motyw prośby o opiekę nad dostatkiem, celem ofiary — częściowym przynajmniej — jest tam zjednanie sobie bóstw urodzaju. Na Litwie gospodarz po stypie zaduszkowej zaklina duchy: „błogosławcie temu domowi, ...nie róbcie szkody naszym łąkom, zbożom i ogrodom"[6]) Uczestnik obrzędu—mówi badacz rosyjski—pragnie uzyskać u zmarłych krewnych, by „swym tajemniczym i wieszczym wpływem pomogli jego losowi i jego gospodarstwu".[7]) O toż samo przecież chodziło i przy ofierze kozła.

A wreszcie jeden jeszcze wzgląd mógł być dla poety ogniwem między oboma obrzędami: mianowicie częściowa zbieżność rytuału. Oba one mieszczą w sobie jako część integralną — wspominanie przodków, wysławianie ich zasług, najprawdopodobniej przy pomocy jakichś pieśni, rytmicznych opowieści; ofiarnik zapewne, jak stary Wajdelota w „Konradzie Walenrodzie", w pewnym momencie obrzędu „głos na spadki wolniejsze rozmierzał" i „rymownym płaczem" głosił wielkość ojców. Według dwukrotnego świadectwa Mickiewicza ta właśnie część stanowiła zamknięcie obrzędu Dziadów, a ma to potwierdzenie również w zwyczaju stwierdzonym w Bretanji.[8]) Podobnież świadczy Stryjkowski, że uczestnicy Dziadów na Litwie i w Żmudzi zarówno „na mogiłach lamentliwie śpiewając płaczą, zwłaszcza żony, wyliczając dzielności, cnoty, gospodarstwo etc. mężów swoich" — jak też i w domostwach po stypie „ojczyste starodawne pieśni śpiewają".

Tego rodzaju rapsod epicki o wielkich ojcach stanowił również część składową uczty kozła; ofiarnik (Wurszajt) w pewnym momencie sławił osobnem przemówieniem bohaterstwo i zbożność przodków, *„sprach von des Volkes Urankunft, Heldentaten, Tugenden"*.[9]) Zebrani zresztą i pozatem, ucztując, śpiewali i grali na trąbach przez całą noc, co naprzykład Bernatowicz — idąc za Stryjkowskim — tak opisał: „Gdy już uczta była przy końcu, jedni z biesiadników w długie trąby grali, inni twarz w twarz obróciwszy ku sobie, smutno śpiewali pochwały zeszłych przyjaciół i krewnych".[10]) Otóż te pieśni o przodkach, to znowu element wspólny między obrzędem Dziadów a ucztą kozła.

Dodajmy nawiasem, że śladów tego rodzaju pieśni bohaterskich doszukiwał się Mickiewicz w przeszłości ze szczególną pilnością; zależało mu bardzo na tem, by stwierdzić, że one były i że stały na wysokim stopniu wyrobienia. Zależało mu zaś do tego stopnia, że dowodów na poparcie swej tezy dopatrywał się tam nawet, gdzie ich w rzeczywistości znaleźć niesposób. Takim argumentem jest dlań n. p. ustęp z relacji Grunaua, przytoczony w 19 przypisie historycznym (Grażyny) nn dowód, że resztki dawnej poezji bohaterskiej mogły się dochować „w domowych tylko zagrodach, albo... w obrzędach zdawna z zabobonnością połączonych". Otóż w ujęciu naszego poety

---

[4]) Szczegółowy i zgodny ze źródłami opis dożynek, obchodzonych w dawnej Litwie na cześć boga zbóż, Ziemnika, włączył Bernatowicz w swą „Pojatę" (1839, III. 131—135). Święto Ilgi opisuje on osobno, jako uroczystość dziękczynną, zarazem pamiątkę wybicia się Litwy z niewoli krzyżackiej.

[5]) *„De diis Samagitarum"*, str. 49. Obchodzićby nas jeszcze mogło, jak długo obrzęd uczty kozła przetrwał na Litwie w zwyczajach ludu. Otóż wydaje się, że zaniechany on został dawno; Łasicki, z początkiem XVII w., notuje, że odprawiano go w niewielu już stronach Litwy i Rusi. „Qui ritus etiam in nonnullis Lithuaniae atque Russiae locis observatur". J. M. W., autor artykułu: „Mniemania i przesądy ludów pruskiego i litewskiego" twierdzi: „Zwyczaj obchodzenia święta kozła do dziś dnia, (a więc niemal do połowy XIX w.) jeszcze w Prusach i Litwie gdzieniegdzie jest obchodzony" (Muzeum Domowe. Warszawa 1838, II, 224 n.). Trudno wszelako dać temu pełną wiarę, bo autor nie daje w opisie święta żadnego szczegółu nowo zaobserwowanego, a tylko idzie niewolniczo za Stryjkowskim. Kto go wie, czy naprawdę znał on to święto, czy je oglądał osobiście?

[6]) Kallenbach J.: „Tło obrzędowe „Dziadów" („Czasy i ludzie", str. 114).

[7]) Karskij D., cyt. przez J. Gołąbka: „Dziady Białoruskie", 1926, odb. z „Ludu", str. 22; powiedziano to tam jednakże o Dziadach wiosennych. Por. też Klinger: „Obrzędowość ludowa Bożego Narodzenia" (Poznań 1926, str. 89): „Te z grobów wychodzące i do grobów znów wracające dusze zmarłych, w oczach ludu musiały nabrać znamion istot chtonicznych, t. j. duchów ziemi, i w charakterze tych ostatnich stać się naturalnymi patronami rolnictwa, dawcami płodności i urodzaju".

[8]) Kallenbach J., l. c., str. 128.

[9]) Kotzebue, I. 88.

[10]) „Pojata", III. 135.

Grunau miał słyszeć, jak podczas uczty kozła ofiarnik „zaczął śpiewać dzieje dawnych bohaterów Litwy, mieszając nauki moralne i modły“, przyczem sam kronikarz przyznawał, „iż nic podobnego nie spodziewał się usłyszeć z ust Litwina, taka była piękność rzeczy i wysłowienia“. Odnośny ustęp Kroniki Grunaua przytoczono wyżej umyślnie w oryginale; łatwo się przekonać, że poeta nasz oddaje go niezupełnie wiernie. Uznanie mnicha - kronikarza odnosi się tam wyraźnie tylko do wykładu Dziesięciorga Przykazań, podanego zebranym przez Wurszajta, nie dotyczy zaś jego wspominków o przodkach; tak też miejsce to w szerokim wywodzie wyjaśnia David, t. zn. ten autor, z którego Mickiewicz poznał relację Grunaua. Tymczasem polskie streszczenie tak—niewątpliwie umyślnie—zostało przez poetę wystylizowane, żeby mogło służyć za „świadectwo dziejopisa“ o wysokiej doskonałości dawnej ludowej poezji bohaterskiej i historycznej. Powtarzam: najwidoczniej zależało bardzo Mickiewiczowi na zgromadzeniu świadectw o tych dawnych pieśniach litewskich. To też niewątpliwie świadectwa takie zatrzymały jego uwagę, a kiedy znalazł wzmiankę analogiczną o nich i przy Dziadach i przy uczcie kozła, łatwo stać się mogły one ogniwem, wiążącem mu w pamięci oba obrzędy w łączność pokrewieństwa.

Tego wszystkiego jednakże było oczywiście za mało, by skłonić poetę do zupełnego zidentyfikowania tych dwóch różnych uroczystości. Bo że były one różne, mimo wszelkich podobieństw w poszczególnych elementach, w tem zgodne są wszystkie źródła. Jeżeli on je mimo wszystko utożsamił, to skłoniły go widać do tego jakieś inne ważne powody; nie świadectwa źródłowe dziejopisów, ale zapewne świadectw tych interpretacja.

Nie ulega bodajże wątpliwości, że interpretacji tej dostarczyła poecie starożytność antyczna, nauka o początkach tragedji greckiej. Mickiewicz wiązał wówczas najwyraźniej starolitewską ucztę kozła tudzież Dziady z trenami koźlarzy, z dramatyzowanym płaczem pogrzebowym, zawodzonym podczas Anthesterjów, greckiego święta, kultywującego pamięć zmarłych przodków. Z obrzędem tym wiązał więc zarazem genezę tragedji i wogóle teatru greckiego, w czem, jak wiemy, nie jest całkowicie odosobniony.[11]) Tego rodzaju pogląd mógł był poeta zresztą powziąć już wówczas zupełnie dobrze od Groddecka.[12]) Oczywiście, niespodziane powiązanie — poprzez odległość wieków — obu tych przejawów wspólnotą rodowego pokrewieństwa, dopatrywanie się źródlisk dramaturgji, tych samych w dawnej Grecji co i w starożytnej Litwie, a może nawet całej Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej — wszystko to iść musi całkowicie na karb inwencji Mickiewicza.

Zamknęła się w ten sposób kopuła nowej, rozszerzonej koncepcji „Dziadów“ cz. II, dramatu ostatecznie religijnego, wspartego o dawne wierzenia, jakby o resztki zburzonych ołtarzy pogańskich, wywiedzionego z prymitywu dawnych form dramatycznych. Jak zaznaczono, zmiana koncepcji dokonała się przez wzniesienie nad gotowym już ubogim zrębem utworu—nadbudowy, która zmieniła gruntownie charakter całości. Nadbudowę tę i przemianę poematu przy pomocy nieznacznych niby uzupełnień wykonał poeta nagle, w ciągu paru zaledwie dni. Stało się to może po raz pierwszy, ale napewno nie po raz ostatni w jego praktyce poetyckiej. W toku tworzenia „Pana Tadeusza“ dokona się parokrotnie takie właśnie nagłe, spontaniczne rozszerzenie rozmiarów i przebudowa planu całości. Ten inspiracyjny porządek tworzenia właściwy był wogóle Mickiewiczowi. Nie przeszkadza nam to jednak w rozumieniu, że w omawianym wypadku przesłanki tej przebudowa i materjał na nią gromadziły się długo w umyśle twórcy. Wynikały zaś, nie wyłącznie oczywiście, ale w znacznej mierze z jego studjów antykwarycznych, z rozpatrywań dawnych dziejów, dawnych wierzeń i obyczajów, prowadzonych ntensywnie zwłaszcza w okresie tworzenia „Grażyny“.

Wilno STANISŁAW PIGOŃ

[11]) Por. Zieliński T.: „Sofokles i jego twórczość tragiczna“, Kraków 1928, str. 26, Sinko T., l. c., str. 30 n.

[12]) Groddeck G. E.: „*Initia historiae Graecorum Litterariae*“, Wilno 1821, I. 145.

WIECZÓR NAD WISŁĄ

Z czarnej kuźnicy w dole słup dymu wyrasta:
Warkocz kręty, poziomy, długi na pół miasta,
Pełzający, pochyły, rozbity na sadze,
Całą połać stolicy bierze w swoją władzę.

Naprzeciw — ponad słońca przymkniętą powieką —
Złotopióre obłoki wichrzą się za rzeką:
Tak lekkie, tak przejrzyste, przewiane płomieniem,
Że się zdają ziemianom Bóstwa przypomnieniem.

Ledwie tarcza słoneczna zapadła przed chwilą,
Już o niej zapomniano: barwy się mogilą,
Chłód i rdzawość jesienna firmament przejada,
Dnia pamięć przygaszona — ostygła i śniada,

Jakgdyby nigdy słońca nie było nad światem.
W tem nagłem odrętwieniu siwo-popielatem
Rzeka toczy swe nurty bez fal, bez błyskawic,
Czarnozielona, mroczna nad żółtością ławic,

Które szczerzą się na dnie, ich kadłub się paczy,
Niby olbrzymia płetwa uśpionych żarłaczy,
Przytulonych na nocleg pod mostu filarem.
Nad garbem skąpych gzemsów — jak wyklęte czarem —

Jakieś światło wybłysło, jak płomień z świecznika,
Niby wschodzący księżyc, który coraz znika:
Nad kopułą najwyższych świątyń się panoszy,
Godło naszego miasta: reklama piwoszy,

Nowoczesne proroctwo: że wszystkiem jest piwo...
Na brzeg wyniosły krętość ulic pełznie krzywo,
Zakwitając latarni ognistym kielichem...
Wieczór stąpa po zrębach w rozmodleniu cichem

I depce stopą wszystko (zwyczajem olbrzymów)
— Ludzi, ulice, dzieci, kwiaty, zwały dymów,
Kadłuby domów, aut pancerze, lamp szkarłaty —
Wstępując po tarasach miasta w lepsze światy...

BARBARA ZA

DO CZYTELNIKÓW

Zeszytem niniejszym zamykamy rocznik 1928. Od Nowego Roku „Myśl Narodowa“ wychodzić będzie co tydzień, wskutek tego zmieniają się warunki przedpłaty. Za kwartał I-szy 1929, na który otwieramy zapisy, przysłać trzeba zł. 9. Abonenci opłacający zgóry za pół roku, przyślą tylko 17 zł., za rok—32 zł. Upraszamy o wczesne zamówienie pisma, aby można było ustalić wysokość nakładu.

Zamiany dwutygodnika na tygodnik domagali się czytelnicy, odczuwający potrzebę ściślejszego kontaktu z ruchem umysłowym. Ufamy, że poprą oni usiłowania nasze, zmierzające do rozszerzenia wydawnictwa, ale też pociągające za sobą znaczne koszta. Skutecznym sposobem poparcia z ich strony będzie zachęcanie znajomych do prenumeraty.

Dołączony do tego zeszytu spis rzeczy, pozwala ocenić doniosłość ogniska, które się wytworzyło w „Myśli Narodowej“. Dosyć wskazać fakt, że w gronie współpracowników pismo nasze liczy kilkunastu profesorów uniwersytetu (Rybarski, Wasiutyński, Winiarski, Głąbiński, Chrzanowski, Bruchnalski, Grabowski, Pigoń, Konopczyński, Sobieski, Komarnicki, Koneczny, Jaxa-Bykowski, Dąbrowski i in.) i powszechnie znanych pisarzy (Świętochowski, Jabłonowski, Pieńkowski, Nowaczyński, Siedlecki, Skiwski, Koniński, Rostworowski, Kozicki, Bartoszewicz, Suchodolski, Miłaszewski i w. in.).

A co do stałych czytelników niema chyba wydawnictwa, któreby w spisach swoich abonentów miało tak bogaty wykaz wyborowej inteligencji.

Rozszerzenie pisma (do 52 n-rów na rok) da nam możność wzmocnienia działów wychowania narodowego i myśli gospodarczej.

Prenumeratę przysyłać najlepiej czekami na PKO, konto „Myśli Narodowej“ nr. 3.105.

Przy oprawianiu rocznika 1928 (z kartą tytułową i spisem rzeczy na wierzchu) trzeba mieć w pamięci, że 4 zeszyty były skonfiskowane, że przeto zeszytów jest faktycznie tylko 24, nie 28, jak wskazuje numeracja.

LIBERUM VETO

Przekroczenie budżetu. — Radosne stąd wnioski. — Zwyczaje konstytucji angielskiej i zwyczaje konstytucji polskiej. — Etatyzm. — Piękne aforyzmy min. Bartla. — Dwie dusze. — Przysięga Trąmpczyńskiego. — Wspomnienia z wojny.

Zaczyna być coraz jaśniej i przyjemniej.

W ubiegłym roku rząd wydał poza budżetem skromną sumkę przeszło pół miljarda złotych.

Według republikańskiej, demokratycznej, socjalistycznej, konserwatywnej, arystokratycznej, monarchicznej setki posłów „uzdrawiających“ i stanowiących ciało „jednolite“, miał on do tego prawo i tylko wrogowie państwa mogą o taki drobiazg robić awanturę w Sejmie. Powody do tego oburzenia są bardzo słuszne. Bo pomyślmy, coby się stało z tymi aniołami usadowionymi na arce przymierza, w której spoczywają rodały naszej „najradykalniejszej“ konstytucji, gdyby w szafowaniu funduszem publicznym chciano się trzymać ściśle granic uchwalonego budżetu i gdyby wogóle do wydatków wprowadzono zasadę oszczędności, tak brzydko stosowaną obecnie w całym świecie a tak pięknie odrzucaną u nas. Pomyślmy, coby się stało z tuszą sanatorów, zalecających dla siebie djety jak najbardziej posilne. Przecież to byłby dla nich Kosów, gdzie kuracjusze żywią się jarzynkami i głodem, lub Lindewiese, gdzie jedzą tylko suche bułki i piją wodę. Sanacja to jest tuczenie a nie obchudzanie. Powtóre, zważmy, jaką to potęgę skarbową wykazuje państwo, które może poza budżetem wydać rocznie pół miljarda złotych. Wobec tej szerokiej ręki dumne ze swego bogactwa Stany Zjednoczone muszą uznać, że mają dziecinną i ściśniętą piąstkę. Prof. Rybarski przedstawił w Sejmie zestawienie wydatków w biurach ministerjalnych. Skala ogromna! Podczas gdy na jednego urzędnika w ministerjum spraw wojskowych wypada 292 zł., w ministerjum poczt 2800 zł.! Przecież chyba najbogatsze państwo w świecie nie może się poszczycić takiem uposażeniem urzędników. I nam jeszcze odmawiają kredytu zagranicą? Skandal! Patrzcie czy to dla nas, przymusowych płatników nie chluba i nie rozkosz, że w tych 500 miljonach złotych są nasze biedne, ciężko, zapracowane, nieraz głodowe grosze, dostarczone w najrozmaitszych podatkach? Kto tej dumy i tego zadowolenia nie odczuwa, doprawdy nie wart być... sanatorem. Do tej radosnej twórczości należałoby dołączyć oświadczenie ministra Składkowskiego, że przyznano prawo obywatelstwa polskiego wielu tysiącom żydów kresowych, których „papiery nie były w zupełnym porządku“. Któż nie cieszy się z pomnożenia tak zacnej i tak Polskę kochającej mniejszości, która może kiedyś stanie się u nas większością.

Jeżeli wydaliśmy pół miljarda poza budżetem bez zamienienia go na beczkę Danaid—mówią sanatorzy, którzy pragną w nim porobić jak największe dziury i podstawiać pod nie swoje worki,—to widocznie nas na to stać. Tu mi się przypomina kilka zwyczajów konstytucji angielskiej. Tam król podpisuje wszystkie *bill*'e tylko swojem imieniem, wyjąwszy *bill* skarbowy, pod którym do imienia dołącza następujący dodatek: Dziękuję narodowi za dostarczenie mi środków na potrzeby państwa. Tak monarcha szanuje pieniężną ofiarę narodu. Drugi zwyczaj. Jeśli minister finansów wykaże nadwyżkę dochodów nad wydatkami, to ulega naganie, bo „pieniądz w ręku obywateli przynosi narodowi większy pożytek, niż w ręku rządu“. Tak parlament angielski pilnuje, ażeby społeczeństwa nie osłabiano nadmiernemi podatkami! U nas — jak śpiewa poeta— inaczej, inaczej — Budżet jest tylko pobożnem życzeniem parlamentu, tłocznia podatkowa wyciska z obywateli więcej, niż oni wytrzymać mogą, pół miljarda złotych wydaje się poza uprawnioną normą, a obok tego rozpościera swoje gospodarstwo coraz szerzej etatyzm, to jest taki system rządzenia, który jak najmniej pozostawia obywatelom przedsięwzięć i działań gospodarczych, a jak najwięcej zagarnia ich dla organów państwa, gospodarujących zawsze najgorzej i naj-

rozrzutniej. Nazwano to socjalizmem państwowym, a jabym nazwał raczej partactwem urzędniczem, które stwarza rzeczy bardzo liche i bardzo kosztowne. Jeżeli według przysłowia siedmiu żydów dźwiga wór chmielu, to takie dźwiganie musi wypaść drogo. Podobnie się dzieje, gdy komisja, złożona z płatnych przedstawicieli kilku ministerjów i płatnego kierownika robót, buduje przez lata mały domek: musi on zamiast 30, kosztować 60 tysięcy złotych. To też gdy takie sprawy zostaną wydobyte i należycie oświetlone w Sejmie, szanowny prezes Najwyższej Kontroli państwa nie może nic innego odpowiedzieć, tylko rozkrzyżować ręce i wyrzec rozpaczliwie: Co ja na to mogę poradzić!

Pomimo to wszystko zaczyna być jaśniej i przyjemniej.

Sejm dostaje kręgosłupa. Wprawdzie jest w nim jeszcze wiele krętogłowów, piskorzów, miętusów, i małych rekinów, ale już liczniej występują i coraz mocniej odzywają się czyste, silne i niezależne charaktry. Z koniecznego i naturalnego rozpadu chorego dziwotwora (B. B.) wyłoniły się dwa gatunki, które widocznie z sobą walczą nie bezpośrednim sporem słownym, ale sprzecznemi dążeniami. Nikt już dziś p. p. Bartla i Sławka nie uważa za braci sjamskich, nie za przyjaciół, nie za dwa podobne naboje jednej armaty, „Berty" sanacyjnej. Chodzą jeszcze w parze, ale już nie sypiają pod wspólnym płaszczem. Prezes Rady ministrów w swoich kilkakrotnych oświadczeniach wypowiedział obietnice pocieszające i przekonania ładne, tak ładne, że posłowie bez obroży i liberji zażądali, ażeby te jego mądre i uczciwe aforyzmy zostały przybite gwoździami w protokułach i zachowały się na użytek późniejszy. Były to zapowiedzi praworządności, władzy i kontroli sejmu nad rządem, uszanowania woli narodu i tym podobne miłe słowa, dawno z tego stanowiska niesłyszane i—rzec można—nienormalne. Pozwalają one nam domyślać się, że w łonie ciała „bebesowego", któremu dotąd przypisywano jedną duszę, zrodziły się dwie[1]) jak gdyby Ormuzda i Arymana. Która z nich zwycięży—trudno wróżyć w kraju niespodzianek, w którym może jeszcze urzędowa geometrja uczyć nas będzie, że najkrótszą odległością między dwoma punktami jest linja krzywa lub łamana a chyba, że dziesięcioro przykazań można uznać za przeżytek wobec cudzego Boga, cudzego bliźniego i cudzego mienia. Wierzmy tymczasem, że p. Bartel będzie bronił całego dekalogu, nie wyłączając zakazów: nie zabijaj, nie kradnij i nie mów fałszywego świadectwa. Mam dla niego ręce gotowe do oklasku, tylko jeszcze czekam na zgodne ze słowami czyny.

Śród rzeszy poselskiej wyrasta głową coraz wyżej nad inne dzielny i nieustraszony obrońca prawa Trąmpczyński. Jak wiadomo, od kilku lat wiszą nad naszem życiem publicznem cztery złowrogie chmury nieukaranych zbrodni. Gdy je poruszono znowu w jednej z komisyj sejmowych, Trąmpczyński powiedział: „Przysiągłem sobie nie spocząć, dopóki cztery sprawy, w których usiłuje się śledztwo tuszować, nie zostaną wyjaśnione". Dawno i daremnie oczekiwaliśmy takiego zamiaru i takiej przysięgi. Niezależnie od jej skutku pozostanie to piękne ślubowanie wspaniałą i nigdy niezapomnianą pamiątką szlachetnego pojmowania obowiązku poselskiego i obywatelskiego, które tak rzadko objawia się w naszych sejmach powojennych. Może Katyliny wymkną się sądowi dzięki zniesławionym sanatorom-mafji, ale nie wymkną się historji dzięki sławnym senatorom narodu.

Jedna z gazet donosi, że gdy w pewnem biurze prywatnem nie przyjęto na posadę jakiejś nieodpowiedniej panienki, zjawiło się u dyrektora dwóch oficerów, którzy mu pogrozili odwetem. Przypomina mi to charakterystyczny wypadek z ostatniej wojny. Rozmawiałem z przełożoną szkoły gospodarczej dla dziewcząt wiejskich, gdy do pokoju wszedł z impetem oficer niemiecki, żądając noclegu. Ponieważ przełożona nie władała językiem niemieckim, musiałem być jej tłumaczem. Odpowiedziała mu przezemnie, że nie może dać miejsca na noc młodemu mężczyźnie między dziewczętami. — Więc to pani uważa—krzyknął brutalnie — że honor oficera niemieckiego nie jest dostateczną rękojmią przyzwoitości? Dosłownie tłumaczyłem mu, że pomimo tego honoru przyzwoitość nie pozwala. On podnosząc głos aż do wrzasku, ciągle tylko powtarzał: Żądam prostej odpowiedzi: dostanę nocleg czy nie? Było widocznem, że ma przygotowaną zemstę za odmowę. Przełożona musiała się zgodzić. Zdawało mi się wówczas, że na taki gwałt może się zdobyć tylko prusak i tylko podczas wojny. Dziś widzę, że się myliłem.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

[1]) Są to zresztą wypadki znane a nawet wyjaśnione. Kochanowski mówi:

„Powiem, chociaż nie k rzeczy zda się rozumowi,
Trudno wytrwać w jednej duszy człowiekowi,
Bo jedna ma być w ciele a druga w kalecie,
Krom tej trudno, krom owej źle żyć, jako wiecie".
A jak trudno musi być, gdy ów człowiek składa się ze stu ciał!

GŁOSY

Z ŻYCIA MASONERJI

UKAZAŁA się książka Lambelin'a *„Les Victores d'Israël"* (Paryż, Bernard Grasset, 61, rue des Saints-Péres, 1928). Należy ona do cyklu *„Le Pèril juif"*, który obejmuje dwie poprzednie książki tegoż autora, omawiane w „Myśli Narodowej", *„Le Reigne d'Israël ches les Anglo-Saxons"* i *„L'Impérialisme d'Israël"*. Dając krótki przegląd dziejów żydowskich, za główne etapy żydowskich zwycięstw uważa autor cztery okresy: czasy Dawida i Salomona, pobyt w wiekach średnich w Hiszpanji, Wielką Rewolucję Francuską z jej następstwami i czasy dzisiejsze, po Wielkiej Wojnie światowej. Tu znów traktuje obszerniej te kraje, gdzie żydzi osiągnęli największe zdobycze, a więc Polskę i Rumunję, obdarzone Traktatem o Mniejszościach.

W przedstawieniu sprawy żydowskiej w Polsce idzie za pracą Smogorzewskiego *„La Pologne restaurée"* (Paryż, Gebethner i Wolff, 1927). Zawsze pożyteczne, gdy chodzi o czytelników niepolskich, kategoryczne stwierdzenie faktu, że pogromów w Polsce w latach 1918—1920 nie było, podanie przyczyn wrogiego stanowiska żydów w tych pierwszych czasach odrodzonej Polski, umiejętnie dobrane cytaty, jak np. zdanie Nojacha Pryłuckiego (z artykułu w *„Volk"* warszawskim), że „równość praw politycznych żydom nie wystarcza, muszą mieć prerogatywy mniejszości narodowych", — czynią książkę tę z polskiego punktu widzenia b. cenną. Fakty, dotyczące walk z żydami, prowadzonych przez stronnictwo prof. Cuzy w Rumunji, przedstawiają się rewelacyjnie dla tego, kto chce zdać sobie sprawę, w jak dużym stopniu opanowane przez żydów agencje prasowe przemilczają wypadki, których publikowanie nie jest z punktu widzenia żydowskiego dogodne.

Rozdział o propagandzie żydowskiej mówi o powieściopisarzach żydowskich—żydach, którzy na rzecz sprawy żydowskiej pracują. Jak się okazuje, istnieją w Paryżu księgarnie, poświęcone specjalnie tego rodzaju wydawnictwom. Osobno omówione są prace Aimé Pallière'a i Jean Izoulet'a, który w dziełach o poważniejszej treści szerzy sympatje dla religji i filozofji żydowskiej. Prac prof. Zielińskiego, które stanowią dla tamtych przeciwwagę, autor nie zna, a przynajmniej o nich nie wspomina. Rozdział o wpływach żydowskich w prasie podaje szereg informacyj, dotyczących zwłaszcza prasy czeskiej i austrjackiej.

Stan dzisiejszy sprawy żydowskiej porównywa autor do tej chwili z Wielkiej Wojny, we wrześniu 1916 r., gdy cofały się wojska francuskie, i na zapytanie, czy Niemcy zaleją Francję, rzeczywistość zdawała się odpowiadać: tak.

Jako środek walki z żydami podaje wyeliminowanie ich ze społeczeństwa, zapomocą nie utrzymywania z żydami stosunków towarzyskich, nie uczęszczanie na sztuki i filmy żydowskie, unikanie sklepów i instytucyj, gdzie kapitał lub usługa są żydowskie, odmawianie wspólnego z nimi zasiadania w radach administracyjnych i zarządach towarzystw handlowych i przemysłowych. Potem dopiero przyjść będą mogły środki prawne.

Książka przeznaczona jest dla szerszej publiczności.

2. Tych, którym zbyt daleko idącem wydało się twierdzenie jen. Ludendorffa, iż tajemnicą masonerji jest żydostwo, zainteresuje ustęp z książki zmarłego przed paru laty uczonego rabina z Liworno Bena-Mozegh'a („*Israël et l'humanité*"), brzmiący, jak następuje:

„Czy należy dziwić się temu, że żydów oskarża się, iż tworzą gałąź masonerji? Jedno jest pewne, mianowicie, że teologja masońska nie jest w gruncie rzeczy niczem innem, niż teozofją, i odpowiada teozofji Kabały. Poza tem zaś zgłębienie dzieł rabinów z pierwszych wieków ery chrześcijańskiej dostarcza licznych dowodów na to, że *aggada* była popularną formą tajnej nauki, której metody inicjacji przedstawiają jak najbardziej uderzające podobieństwo z instytucją masonerji. Ci, którzy zadadzą sobie trud starannego zbadania stosunku judaizmu do filozoficznej masonerji, teozofji i wogóle tajnej wiedzy, stracą, jesteśmy przekonani, nieco z zarozumiałej pogardy dla Kabały. Przestaną uśmiechać się z litością na myśl, że teologja kabalistyczna może mieć rolę do odegrania w przyszłych przeobrażeniach religijnych... Nie przestaniemy powtarzać, że doktryna ta, która zbliża na łonie judaizmu element semicki do elementu aryjskiego, zawiera również klucz do rozwiązania współczesnego problematu religijnego".

Wielki organ nowojorski „*The Jewish Tribune*", stwierdzając wprawdzie, że i w masonerji zaznaczać się zaczęła niechęć do żydów, pisał w dn. 28 paźdz. 1917 r.: „Masonerja oparta jest na judaizmie; co zostanie z rytuału masońskiego, jeśli wyeliminuje się doktrynę judaizmu?".

3. „*Juedische Pressezentrale*" (Zurich 16.XI.28) zawiadamia w artykule wstępnym, że prezydent Hoover „popiera żydowskie organizacje dobroczynne" i że Juliusz Rosenwald, znany wice - prezydent Amerykańskiego Żydowskiego Komitetu (*American Jewish Committee*), kierownik firmy Lears Roebuck Co, jest jego mężem zaufania i otrzyma tekę Ministra Handlu.

Prasa antyżydowska przypomina przy tej sposobności, że Smith podczas kampanji wyborczej wygłaszał ostre mowy przeciw tym, co wierzą w mordy rytualne. Oba fakty są przyczynkiem do wpływów żydowskich na rządy Stanów Zjednoczonych.

4. Zabójstwa faszystów włoskich, przebywających na terenie Francji powtarzają się wciąż i, według prasy niemieckiej, jakoby dosięgły już 80 osób. Świeżo zamordowano w kolonji robotniczej włoskiej Iveuf (M.-et-Moselle) proboszcza Covarassi'ego, znanego ze swych faszystowskich przekonań. Żabójcy wpadli do jego biura i zastrzelili go w oczach służącej, poczem zbiegli, wołając: „oto, co należy robić z faszystami".

5. Czeski korespondent „*Veritas*" pisze o tem, że nadzieje, jakie żywiono w Czechach po odzyskaniu, niepodległości, zrealizowały się tylko w części i że opozycja socjalistyczna przeciwko czesko-niemieckim partjom rządowym wzrosła. Wobec tego jednak, że rząd popiera Narodową Partję Robotniczą, na czele której stoi Żyd Stransky, wybory nie przyniosą zapewne żadnych zmian zasadniczych. Zauważyć można jedynie lekkie przesunięcie się rządu w kierunku lewicy. Oczekiwane są straty u klerykałów i nacjonalistów, natomiast partja agrarjuszy zapewne wzrośnie.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Opozycja pokorna i usłużna. — Walka rządu z... polskim nacjonalizmem. — W Lugano.

WYDARZENIA ostatnich tygodni przyniosły ujawnienie faktu, o którym nigdy nie należy zapominać, jeśli się chce istotnie zrozumieć obecne położenie polityczne w Polsce. Faktem tym jest, iż niezależnie od oficjalnego Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, współpracuje z gabinetem p. Bartla, i to skutecznie, także inny jeszcze blok, partyjny, mianowicie Blok Stronnictw Lewicowych. Ostatnio blok ten okazał rządowi pomoc szczególnie ofiarną, bo wymagającą jawnego... kompromisu w sprawie tak „zasadniczej", jak „obrona parlamentaryzmu i demokracji".

Jak wiadomo, w roku ostatnim rząd przekroczył budżet, uchwalony przez Izby Prawodawcze, o zgórą pół miljarda złotych. W niektórych działach, np. w Prezydjum Rady Ministrów, przekroczenie to wyniosło 448% sumy preliminowanei, aczkolwiek, jak słusznie zaznaczył w przemówieniu swem pos. prof. Rybarski, w r. 1927-28 niezwykłych klęsk żywiołowych ani „wojny nie było, tylko były wybory..." Jasną jest rzeczą, iż gdyby rząd miał możność przekraczać dowolnie budżet, uchwalony przez Izby, uprawnienia parlamentu w tej dziedzinie nie posiadałyby żadnej treści, to też ustawa wymaga w tym wypadku zgody przedstawicielstwa narodowego na t. zw. „kredyty dodatkowe." Rząd jednakże wniosku w sprawie kredytów dodatkowych nie złożył, a dopiero po długiej dyskusji w komisji budżetowej Sejmu p. premjer Bartel oświadczył, iż zamierza uczynić to, w terminie bliżej nieokreślonym...

Klub Narodowy, konsekwentnie walczący o praworządność, t. j. ścisłe wykonywanie obowiązujących ustaw, póki nie zostaną one w legalny sposób zmienione, zgłosił wniosek, żądający przedstawienia przez rząd ustawy o kredytach dodatkowych do dnia 15 grudnia r. b. Termin powyższy z niewyjaśnionych bliżej powodów uznany został przez prasę sanacyjną za „humorystyczny", co najciekawsze jednak, lewicowi „obrońcy parlamentaryzmu", nie zechcieli przeciwstawić mu ze swej strony jakiegokolwiek terminu „poważnego", tylko poprostu głosowali razem z Bezpartyjnym Blokiem za... odrzuceniem wniosku Klubu Narodowego. Pokora przebija ponoć niebiosa, to też nie dziw, iż dnia następnego sanacyjna „Epoka" nie szczędziła usłużnej lewicy pochwał i obietnic: „Dobrze zrobiła lewica, że nie dała się pociągnąć do tej pustej demonatracji niewiary w słowa szefa rządu. Zaufała mu i nie zawiedzie się".

O tem, że opozycja zasadnicza jest „jałową", a współpraca, umiejętnie okazana, może wydać smaczne i posilne owoce, wie doskonale nawet bezwzględnie opozycyjny, a w rządowej drukarni tłoczony, centralny organ P. P. S., „Robotnik". Co ważniejsza zaś, poza innemi, istnieją także pewne ideowe węzły, zespalające dzisiejszy rząd z lewicą, a wśród tych najważniejszy jest niewątpliwie wspólny front, zwrócony przeciwko polskiej idei narodowej. „Walka z tym nacjonalizmem" — oświadczył dn. 27 z. m. pan minister spraw wewnętrznych Składkowski — „obowiązuje ministerstwo zarówno w stosunku do przedstawicieli nacjonalizmu polskiego, jak Undo czy p. Gruenbauma". P. minister nie wziął tutaj pod uwagę, że Państwo Polskie nosi nazwę — Polska (nie „Judea" albo „Ukraina"), że nazwa owa nie jest jednak czemś dowolnem ani przypadkowem i że ten fakt również w polityce polskiego ministerstwa spraw wewnętrznych powinienby właściwie znaleźć jakiś wyraz...

W Lugano rozpoczęła się sesja Rady Ligi Narodów. Rok mija właśnie od chwili, kiedy ówczesny prezes Rady ministrów Piłsudski osobiście udał się był do Genewy, żeby „przy pomocy swego autorytetu osobistego" zmusić Ligę do ostatecznego uregulowania całokształtu sporu polsko-litowskiego. Uchwały, jakie w powyższej sprawie powzięte zostaną podczas obecnej sesji Rady Ligi Narodów, pozwolą prawdopodobnie sporządzić ostateczny obrachunek wyników wspomnianej inicjatywy dyplomatycznej rządu polskiego.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

POLSKIE POWIEŚCI O RYBAKACH-KASZUBACH

(J. Bandrowski — S. Grabiński)

POLSKA nadmorska i jej mieszkańcy zostali bardzo późno przez literaturę polską odkryci. Najpóźniej zaś przez powieść polską. Pomijając opowiadanie Deotymy o „Panience z okienka", jako że na tle życia patrycjatu gdańskiego, a więc żywiołu raczej obcego osnute, pierwszą chronologicznie powieścią polską, przedstawiającą życie nadmorskiej rybackiej ludności a rzuconą na szerzej podmalowane tło pejzażu morskiego, jest niesłusznie przez krytykę zlekceważony a przez czytającą publiczność zapomniany utwór A. Gruszeckiego p. t. „Tam gdzie się Wisła kończy" (I wyd. z r. 1903, niedawno wyszło ponownie w popularnej edycji „Bibljoteki Domu Polskiego"). A. Gruszecki, nie był poprawdzie pisarzem wielkiej miary, publicysta przeważał w nim nad artystą, ale przez bystrość obserwacji, przez niezwykłą aktualność problemów i szlachetną tendencyjność zasługują jego powieści na baczniejszą uwagę choćby jako dokumenty chwili. Jego powieść p. t. „Tam, gdzie się Wisła kończy" (może nie zbyt ściśle zatytułowana, gdyż głównym terenem akcji jest tu półwysep helski i tzw. Małe morze a nie Gdańsk, tylko epizodycznie wspominany, jako rynek zbytu połowów rybackich) stanowi wcale zajmującą lekturę, bowiem na materjale naocznych spostrzeżeń oparta, daje nam szczegółowy, realistyczny (poza końcową fantastyczną historją o owym szkunerze rybackim na dalekie wody po wspaniałe połowy się wyprawiającym) obraz życia rybackiej osady w Jastarni, codziennych zajęć rybaków, ich sposobu bytowania, charakterystyki, zwyczajów i obyczajów, nawet ich odrębnej gwary, a to wszystko rzucone na tło żywego, coraz to odmiennego pejzażu morskiego. I już przez to samo, że Gruszecki pierwszy tym tematem się zajął, że już w r. 1903 (w czasie gdy niemiecka nauka gwałtem chciała z Kaszubów zrobić odrębne plemię słowiańskie) odkrył nad polskiem morzem polskich rybaków, że już wtedy (na 20 lat przed Żeromskim) zdobył się na wzbogacenie polskiego języka literackiego przez wprowadzenie kaszubskiego słownictwa żeglarskiego i rybackiego, uznać trzeba jego niemałą zasługę, zasługę tem większą, że i pod względem literackim „Tam gdzie się Wisła kończy", jako typ powieści realistycznej nie jest bez pewnych walorow.

Do wystąpienia Gruszeckiego świadomie nawiązuje Jerzy Bandrowski, dając w swej powieści z nadmorskiej Polski „Zolojce" (Poznań 1928. Nakład Księgarni św. Wojciecha) obraz życia tej samej rybackiej osady Jastarni, tylko w kilkadziesiąt lat później, przy dokonywającej się zasadniczej zmianie stosunków. Niestety jednak, podobnie jak praca tegoż samego autora p. t. „Na polskiej fali" (Poznań 1927), mająca być powieścią morską dla młodzieży, tak i „Zolojka" powieścią w ścisłem tego słowa znaczeniu nie jest. Brak jej zasadniczego wątku fabularnego, za który nie możemy uważać historji niezbyt zdecydowanego stosunku p. T. Buszyńskiego, odrodzonego duchowo przez zetknięcie się z morzem, do pięknej warszawianki pani Łucji, spędzającej sezon letni na Helu, ani też oryginalnego przebiegu romansu Józka z Duszą. Brak również koniecznej wewnętrznej kondensacji treści, rozpraszającej się wciąż w nadmiarze drobnostkowych szczegółów, „Zolojka"—to raczej obfity zbiór materjałów do powieści o polskich rybakach, zbiór zawierający niezmiernie bogaty zasób obserwacyj z przyrody polskiego morza, ciekawych spostrzeżeń z życia i obyczaju rybackiego, uwag o stosunkach gospodarczych oraz szereg świetnych w swej realistycznej charakterystyce postaci, jak np. wszyscy członkowie rodziny Zolojki, szewc Kuhnke, przedsiębiorca Kułak i tp. J. Bandrowskiemu chodziło w tej książce przedewszystkiem o oddanie zbiorowej psychiki kaszubów-rybaków—dzieci morza, psychiki, której zewnętrznym symbolem jest postać tytułowa młodej, pełnej jeszcze pierwotnych instynktów żywego temperamentu, zdrowej, silnej rybaczki Zolojki. Przezwisko jej poszło od „zoloju", co w gwarze kaszubskiej oznacza miejsce na brzegu, spłukiwane przez morze, gdzie każda fala zostawia po sobie mokry pas, jakby wstęgę na piasku. A więc Zolojka, to jakby odbicie śladu fali na strądzie, odbicie wpływu morza na duszy lądu. Pod koniec opowieści ujęcie tej postaci otrzymuje ostateczne uzupełnienie, a tęsknota Zolojki za kimś bliskim, kochanym, co z głębi kraju przyszedłszy opowiadałby jej o wymarzonej Polsce i Polskę tę pokazał, czyni z niej symbol całej „nadmorskiej" Polski, wszystkiego kaszubskiego ludu, tęskniącego za serdecznem przygarnięciem do łona macierzy—Polski. Jeżeli chodzi o wniknięcie w duszę kaszubską i tej duszy przed nami odsłonięcie, to istotnie pod tym względem nikt nas przed J. Bandurskim nie potrafił tak z psychiką kaszuby-rybaka spoufalić, nikt przed nim podobnie wiernego i dokładnego obrazu „nadmorskiej Polski" nie namalował. Poza tem, jak to wyraźnie w publicystyczno-propagandowem posłowiu, sam autor zaznacza, pragnął on książką swą zwrócić uwagę na ciężkie warunki bytu polskich rybaków, których dobrobyt jest zależny właściwie od przypadku i kaprysów morza, z powodu uprawiania jedynie przybrzeżnego rybołóstwa. Ten cel również autor osiągnął, budząc sympatję dla twardych ludzi morza, przyzwyczajonych do ciężkiej pracy, zahartowanych w walce o byt, lecz zawsze o dobrych i szlachetnych sercach. Spełnił wreszcie autor jeszcze jeden cel, krzewiąc umiłowanie polskiego morza, tak wiele poświęcając mu uwagi i wpla-

tając m. in. w tok swej opowieści szereg szkiców pejzażu morskiego w rozmaitych porach roku, w rozmaitem ujęciu i naświetleniu, a zawsze *con amore* rysowanych. Mimo to wszystko jednak, jak już rzekliśmy, „Z o l o j k a" jest tylko zbiorem materjału do powieści o polskich rybakach, do powieści, którą może sam J. Bandrowski nas obdarzy, ma bowiem wszelkie dane po temu.

Z obrazem życia tego samego środowiska pomorskich rybaków spotykamy się w świeżo wydanej książce Stefana Grabińskiego p. t. „Klasztor i morze" (Warszawa 1928. Nakład F. Hoesicka), tylko nie w tak wszechstronny, wyczerpujący sposób przedstawionym, bowiem nie stanowi tu ono, tak jak u Bandrowskiego, głównego tematu opowieści. W swej kompozycyjnej całości powieść Grabińskiego o „Klasztorze i morzu" zestawiona jest z dwuch odrębnych wątków, bardzo luźnie tylko wzajemnie się zazębiających przez wspólnotę podaniowego podłoża o Mnichu morskim, pokutującym w głębiach morza polskiego za popełniony przed wiekami grzech gwałtu na dziewicy-mniszce. Właściwa akcja rozgrywać się ma w 300 lat od czasów połączenia ziemi pomorskiej z odrodzoną Polską, przyczem występek mnicha powtarza się w nowem wcieleniu w dziejach tragicznej miłości kapitana brygolety Jana Warmskiego i siostry Agnieszki, dawnej jego narzeczonej, a obecnie mniszki z zakonu Anuncjatek, zwanych Pannami Morskiemi, których klasztor tuż nad brzegami morza się wznosi. Takie ujęcie tematu pozwoliło autorowi na rozsnucie przed nami z jednej strony życia w nadmorskim klasztorze dokładnie i z prawdziwem odczuciem klasztornej atmosfery przedstawionego, z drugiej zaś strony na zobrazowanie charakterystycznego trybu życia naszych „reboków", których codzienne zajęcia, żeglarskie wyprawy, połowy ryb i tp. opisane są również z istotną znajomością rzeczy, niewątpliwie na autopsji ugruntowaną. Równolegle z wątkiem fantastycznym, związanym głównie z terenem klasztoru, rozwija się wątek realistyczny (charakterystyczne dla Grabińskiego, iż w tym wypadku wypełnione przezeń rozdziały książki należą do najciekawszych i najlepszych), którego ośrodek stanowi historja dwuch rodzin rybackich: Piochów i Dorszów, historja zwikłana tragicznie przez nieszczęśliwą miłość Antka Piocha do Hedy Dorszówny, która zmuszona jest ostatecznie szukać schronienia w klasztorze wobec gwałtownej natarczywości ojczyma, niepozwalającego na połaczenie się z Antkiem, aby ją dla swojej grzesznej żądzy zachować.

Odnośnie do języka zaznaczyć należy, że Grabiński, jeszcze w większej mierze niż Bandrowski posługuje się znajomością technicznego słownictwa żeglarskiego i rybackiego. Oczywiście nie mogło w podobnej powieści zabraknąć pięknych obrazów morskich (jak np. taki nastrojowy opis muzycznej gry fal, oglądanych oczami rozkochanego w morzu starego rybaka—kaszuby).

RAJMUND BERGEL

Z LAT MINIONYCH

WYDANY teraz pamiętnik Augusta Iwańskiego*) będący historją niewoli ukazuje obrazy burzliwych wypadków w kraju, współczesnych stosunków zagranicą i na wygnaniu, na Syberji. Iwański dożył w pełni władz umysłowych lat 80, a jego kultura uczuciowa, moc i rzetelność charakteru, wykształcenie, tradycje rodzinne i narodowe i swojskie tło otoczenia, nadały wysoką miarę wartości jego wspomnieniom. Książka ta, to nie tylko żywot człowieka poczciwego, ziemianina, powstańca i więźnia stanu, ale katechizm rycerski, o przykazaniach obowiązujących do naśladowania. Niema w pamiętniku nauk i morałów w tym względzie. Prosto, bez patosu czy pozy na bohatera i męczennika, opowiada w chronologicznym rozwoju dzieje życia. Wrażliwość, nieledwie artystyczna, ciekawość ludzi i świata, i ta, właściwa ludziom dawnego pokolenia, ruchliwość, jak i zmienność ówczesnych zdarzeń i nastrojów, nęci i przykuwa uwagę czytelnika.

*) August Iwański. Pamiętniki 1832 — 1876 r. Staraniem synów autora wydał i przedmową poprzedził Adam Czartkowski. Warszawa 1928 r. Nakładem i czcionkami Pomorskiej Drukarni Rolniczej S. A. w Toruniu.

Tło przeżyć to Ruś, Odessa, ziemia Kijowska, Małopolska, Bruksela, Paryż, a po powstaniu Syberja i znów po powrocie z wygnania ziemia ojczysta. Z pod pióra Iwańskiego zarysowuje się stan ekonomiczny i oświatowy „ziem zabranych", a przedewszystkiem podniecony nastrój kół niepodległościowych, w których najżywszy udział mieli ziemianie, polska inteligencja miejska i młodzież. Towarzyskość autora skłaniała go do zawierania licznych znajomości, to też, z pomocą wprost wyjątkowej w tak późnym wieku pamięci, umie ożywić swe opowiadanie wielu sylwetami interesujących postaci.

Wyłącznym, jasnym motywem spraw tego polaka była sprawa polska. Typ to szczery, bez kompromisu z ideałów narodowych, wierny przewodniej idei życia. A książka jego wspomnień warta przeczytania i pamięci.

ANTONI WYSOCKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazała się w księgarniach bardzo sympatyczna i cenna książka Marjana Kiniorskiego, b. senatora i prezesa Centralnego Tow. Rolniczego, p. t. „W służbie ziemi. Refleksja rolnika na posterunkach publicznych". (Warsz. 1929. Skład główny u Gebethnera i Wolfa. S. VIII i 315).

Autor zebrał tutaj rozprawy swoje w sprawach agrarnych i społecznych oraz przemówienia, które wygłaszał jako prezes C. T. R. i senator, podzieliwszy materjał na dwie części. Pierwsza dotyczy spraw ziemi, druga interesów narodu wogóle. Całość doskonale się harmonizuje myślą patrjotyczną, która zawsze była i jest rysem zasadniczym Kiniowskiego jako działacza narodowego. Wysoka inteligencja, łacińska iście zasadniczość oraz szlachetność gestu w każdem wystąpieniu, w połączeniu z doskonałą umiejętnością wysłowienia — nadają książce wartość dobrego czynu społecznego, a zarazem wartość literacką. Książka ma znaczenie nietylko dokumentu historycznego. Znaleźć się powinna, jako pamiętnik dzielnego obywatela, w ręku każdego, kto ceni dobre wzory.

*

Znany dobrze czytelnikom „Myśli Narodowej" krytyk Jan Emil Skiwski wydał w Poznaniu u Fiszera i Majewskiego pierwszy tom swoich studjów literackich pt. „Po za wieszczbiarstwem i pedanterją". Na tę niezmiernie interesującą książkę składają się rozprawy: 1. O krytyce naukowej i profetycznej, 2. Żeromski, pisarz i apostoł, 3. Maurycy Barrés, 4. Zygmunt Wasilewski, 5. Nietzsche przegadany i przemilczany, 6. W obronie człowieka harmonijnego, 7. Kilimy a tęsknoty uniwersalistyczne. Rozprawa o Żeromskim, w porównaniu z tem, co autor ogłosił w „Myśli Narodowej", znacznie rozszerzona. Skiwski. jako pisarz, od pierwszego rzutu stanął na przedzie nowoczesnej krytyki. Świetna jego książka odegra przełomową w krytyce rolę. Rzec można otwiera okna w naszej izbie literackiej, przewietrza stęchłość. Wdzięczność należy wyrazić zasłużonej już firmie Fiszera i Majewskiego za wydanie tej książki.

*

Tadeusz Gluziński zadebiutował książką p. t. „Przygoda" (Wydawnictwo Polskie, Poznań). Składają się na nią dwie interesujące nowele, obie osnute na tle Tatr. Pierwsza z nich opowiada o spotkaniu się młodego turysty — w dzień dżdżysty — z nieznajomą turystką; oboje razem odbywają dalsze tarapaty, aż zdarza się im chwila zapomnienia okupiona następnie tajemniczem zniknięciem nieznajomej w czeluściach górskich — tak tajemniczem, że niewiadomo, sen-li to był czy jawa. Druga nowela ma motyw, przypominający nieco „Zieloną

Kadrę“ Kossowskiego. Osnuta jest na fakcie, jednym z wielu chowania się zbiegów z austrjackiej armji w lasach podhalańskich.

*

Do najpopularniejszych wierszy w Polsce należą „Piosenki żołnierskie“ Kornela Makuszyńskiego, pełne humoru bądź szczerego, bądź pogodnego, bądź wisielczego, w każdym razie zawsze wybornego. Rozchodziły się one w tysiącach egzemplarzy po froncie w czasie wojny bolszewickiej, krzepiąc ducha żołnierzy i spędzając z ich czoła smutne myśli. Obecnie piosenki te — zebrane i uzupełnione — ukazały się w pięknej edycji nakładem Wydawnictwa Polskiego w Poznaniu, wznawiając dawną swą popularność w chwili 10-lecia odrodzenia Polski. Warto wspomnieć, że wiele z tych piosenek dostało już melodje St. Niewiadomskiego; inne powinny też skusić kompozytorów swą melodyjnością, swym dziarskim rytmem i czarem swojego wiersza. Rodzime te piosnki z rodzimą nutą wyrugowałyby skutecznie różną tandetę obcej proweniencji, jaką się śpiewa często w polskich szeregach; dość wspomnieć, że najpopularniejsze obecnie pieśni wojskowe mają melodje z operetek austrjackich, pruskich lub nawet... bolszewickich „hymnów“ rewolucyjnych (jak „Smieło, towariszczi, w nogu“ i td.). Czas już oczyścić tę stajnię Augjaszową.

*

Wspaniały zeszyt „Sztuk Pięknych“, wychodzących w Krakowie pod redakcją Wł. Jarockiego, poczwórnej wielkości jest zamknięciem rocznika 1928 r. (IV). Jest to piękne album, złożone z wielu reproducyj z obfitym tekstem. W tym zeszycie mamy Dürera (Wł. Kozicki), Stan. Kamockiego (Schroeder), oraz kolekcję Ignacego Korwin-Milewskiego (Klein). Każdy miłośnik sztuki musi takie wydawnictwo posiadać. W tym zeszycie posiądzie galerję wybornych 69 reprodukcyj.

Dowiadujemy się z artykułu p. Kleina, że słynna galerja Ignacego Korwin-Milewskiego, dla której w swoim czasie właściciel zakupił wyspę na Adrjatyku i tam zbudował pałac, galerja złożona z 250 przedniejszych dzieł malarstwa polskiego, po śmierci tego ekscentryka poszła w rozsypkę. Kilkadziesiąt płócien pozostaje dotąd w Wiedniu, na składzie gdzieś na strychu. 20 dzieł zabrał adwokat wiedeński Emil Merwin (z rodziny Menkesów we Lwowie), który zajmował się interesami spadkowemi po Milewskim. Znaczną część rzeczy lepszych nabył na spekulację handlarz Abe Gutmajer z Warszawy. Kto chciał kupował i to za bezcen. Muzeum Narodowe warszawskie odkupiło od Gutmajera autoportret Matejki za cenę 20 razy większą, niż mogło zapłacić w Wiedniu.

Działo się to po wojnie, kiedy w Warszawie istniało ministerjum kultury i sztuki, gdy w Wiedniu były polskie urzędy poselskie i konsularne. „Sztuki Piękne“ podają teraz reprodukcje kolekcji Merwina. Są tam dwa dzieła Matejki, dwa Michałowskiego, dwa A. Gierymskiego, Pochwalskiego, Stanisławskiego i inne.

Pomyśleć tylko, jak zmieniały się w Polsce stosunki! Dawniej opiekowali się sztuką Ossolińscy, Dzieduszyccy, Tarnowscy, potem Milewscy, wreszcie — pomimo ministerjów — nikt. Galerje mają Merwinowie.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„Marion des Neiges“ (Albin Michel), to pierwsza powieść p. Jean Martet, która ukazała się niejako pod auspicjami p. Clemenceau, gdyż były premjer oświadczył, że odczytał ją trzykrotnie. Jej temat stanowi poszukiwanie złota. Temat zatem zdawałoby się na pozór już znany. Autor jednakowoż potrafił wytworzyć tak specjalną atmosferę, tak trafnie naszkicować charaktery swych bohaterów, że czytelnik przeżywa z nimi zarówno ich iluzje, chwile zwątpienia, jak wreszcie momenty zrealizowania złotych marzeń. Przesuwa się przed naszemi oczami cała galerja typów ludzkich w pogoni za bogactwem. Jedni wszelako dali już za wygraną, inni pomimo wszystko jeszcze żywią nadzieję. Autor kreśli środowiska bardzo specjalne, braterską przyjaźń człowieka białego i Indjanina, ich wspólne zwycięstwo, obojętność na niebezpieczeństwa i przeciwności, a wreszcie nawet i obojętność dla posiadanego złota. Poprzez te perypetje wpleciona jest jakby nić sentymentalna, postać drobnej Marion-Śnieżnej, zdanej na los szczęścia w tych białych, pustynnych przestrzeniach.

*

„Climats“ (Grasset édit.) jest właściwie pierwszą w całem tego słowa znaczeniu powieścią p. André Maurois. W studjum tem psychologicznem autor odmalowuje ciekawą ewolucję charakterów. Filip Marcenat ubóstwia swą piękną żonę Odile. Ta kocha go również, ale nie tak wyłącznie, znajdując dużo przyjemności i w życiu poza domem. Filip wolałby Odile posiadać tylko dla siebie. Stąd wytwarza się cały szereg dysonansów, aż wreszcie przyjdzie chwila, kiedy piękna Odile pójdzie za innym człowiekiem. Filip po chwilach rozpaczy, zaczyna szukać rozrywek w życiu towarzyskiem. Po pewnym czasie wreszcie żeni się powtórnie z Izabelą. Ta druga żona znowuż kocha go w ten sposób, jak on kochał swą pierwszą, podczas gdy jego charakter, pod wpływem właśnie Odile uległ już zasadniczej zmianie. Nowe dysonanse, nowe cierpienia, bo „klimat“, w jakim potrzebuje żyć dana jednostka, nie odpowiada „klimatowi“ drugiej.

*

P. Emanuel Bove otrzymał ostatnio „Nagrodę Figuiére“ na którą przypada poważna suma 50.000 frs. Rzecz ciekawa, że młody ten autor jest Rosjaninem i nazywa się w rzeczywistości Bobovnikov. Literatura też jego nosi bezwzględnie piętno słowiańskiej psychologji, lubującej się w analizie, posuniętej aż do paradoksu. Autor ten ciekawej książki *„Mes Amis“* publikuje obecnie *„Coeurs et Visages“* (Editions de France). Akcja jej odbywa się przy stole w czasie bankietu, jaki wydają przyjaciele i znajomi fabrykanta trzewików, p. André Poitou z racji otrzymanej przezeń dekoracji Legji Honorowej. Na temat tych „Serc i Obliczów“, autor pisze 225 stron, żeby odmalować ich istotne uczucia, kryjące się poza konwencjonalnemi uśmiechami i życzeniami. Fotografja przy wybuchu magnezji kończy te ucztę i kończy powieść.

TEATR

LELEWEL WYSPIAŃSKIEO.—MURZYN WARSZAWSKI A. SŁONIMSKIEGO. — OSTATNIA NOWOŚĆ E. BOURDETA.

PIELĘGNOWANIE przez Teatr Narodowy tradycyj klęsk przy ignorowaniu rocznicy triumfu Polski jasno się nie tłumaczy. Społeczeństwo polskie bowiem nie ma wielkiej ochoty wnikać w tajemnice serca politycznego kierowników teatrów. Serce ich artystystyczne odczułoby dobrze, że nie czas w Polsce niepodległej na delektowanie się takiemi ranami, jak chybiona rewolucja Lelewela.

Wyspiański, przerabiając motywy poezji emigracyjnej i historję powstania w wykładzie Barzykowskiego, do mistycyzmu wpijał się duszą w tajemnice psychologji jednostek i partyj, które bez dostatecznego przekonania wewnętrzego szamotały się ze swoją misją—dając narodowi stokroć gorsze świadectwo niedojrzałości, niż on na to zasługiwał. Poprostu rozum polityczny paraliżowany był przez spisek wolnomularski, stąd konwulsje raczej, nie działanie celowe, stąd chwiejność dobrych patrjotów, ale nieodpowiedzialnych za swoje ruchy.

Wyspiański te wahania upoetycznił, ale nie wyraził swojej myśli dość umiejętnie. Był to jeden z pierwszych jego utworów, napisanych nie dla sceny. Z trudem można wyczuć i w tej już sztuce właściwą jego widzeniom poetyckim dwuplanowość. Tutaj postaci jego — Czartoryski i Lelewel — dwa razy żyją: jako męże stanu z sobą skłóceni, widzimy ich takimi w scenach zbiorowych, i jako ludzie kochający Polskę. Gdy są sam na sam, wchodzą jeden w drugiego i uzupełniają się w jedną całość, w której rozum uczuciu nie wadzi. Na szerszem tle działania zbiorowego odskakują od siebie. Wyspiański marzył duszę narodową kompletną i krwawił serce swoje tajemnicą, dlaczego dusze się nie przenikały. My dzisiaj więcej wiemy, jakie były tego przyczyny.

W „Lelewelu“ spostrzec można w zarodku przyszłą metodę Wyspiańskiego personifikowania walk wewnętrznych, duchowych, metodę, która wkrótce wprowadziła na scenę dialektyczne „maski“. Tutaj w „Lelewelu“ jeden dla drugiego jest taką „maską“, która znajduje dostęp do duszy napozór nieprzejednanej i kusi. Lelewel przekonywa Czartoryskiego, że ten od spodu ma ten sam wulkan uczuć, co on, aż zachwiało się serce polityka. Niemojewski sam na sam wdziera się do duszy jego z koroną. Wyspiański tak ujął legendę emigracyjną o królu *de facto*.

Wszystko to jednak nie uwydatniło się w dziele należycie, a znikło zupełnie na scenie. A ten gzygza-

kowaty rysunek charakterów i odruchów pomnożył tylko naszą żałość, żeśmy tak w owe dni bohaterskie wyglądali. I za ten żal mamy żal do dyrekcji teatru, która widocznie się nie orjentuje w duszy Polski żyjącej, a nawet we własnym repertuarze. Niedawno bowiem ten sam temat był prezentowany w sztuce St. Krzywoszewskiego (walka ks. Lubeckiego z Mochnackim). Ach, dość już tego listopada!

Uratowali sztukę pp. Chmieliński i Brydziński, świadomi tradycji teatru Wyspiańskiego.

*

W teatrze Małym (Szyfmana), p. Antoni Słonimski wystawił bez żenady komedję żydowską p. t. „Murzyn żydowski". Ktoby chciał widzieć, jak wygląda Fredro żydowski, powinien to zobaczyć. Słonimski chce wyleczyć żydów z manji udawania Polaków. Zadanie dość niewdzięczne dla pióra, brodzącego z upodobaniem w mowie polskiej i zawdzięczającego tej mowie możność nauczania... separatyzmu. Słuchacz polski nie wiele ma do powiedzenia na ten temat, tem mniej ten, który w asymilację nigdy nie wierzył. Nawet gdyby czuł, że przecież to dramat pisać w tych warunkach taką komedję.

Czy tam wewnątrz pisarza jest coś dramatu, trudno powiedzieć, bo szyderstwo, jak kwas pruski, wyżera w utworze wszelkie pierwiastki liryzmu i wydaje się być celem twórczości. Ileż więcej sympatji do żydów miała Zapolska, pisząc „Makłę Szwarcenkopf", niż Słonimski w swojej zoologji księgarza i jego środowiska. Nie wiadomo, jakie wartości chciałby on w tem środowisku ocalić przez odsunięcie go od wpływów polskich motywów cywilizacyjnych. Jest to jednak sprawa żydowska wewnętrzna. Polska krytyka może tylko wymagać od p. Słonimskiego, aby nie robił polityki żydowskiej na polski rachunek. Zupełnie niewłaściwa jest w sztuce tendencja zohydzania stosunku Polski z zaprzyjaźnionym narodem francuskim. Nikt nie uwierzy, aby ów Francuz, działający przy udziale Ministerjum Spraw Zagranicznych w interesie spółki handlarzy żywym towarem, był przypadkowy, owszem mamy wrażenie, że cała sztuka w tym celu była napisana. Nie zasłonią tej smutnej prawdy wesołe koncepty o żydach, któremi p. Słonimski sypie z rękawa.

*

Tak się zdarzyło, że w teatrze Polskim jednocześnie wystawiono komedję francuską, w której bohaterem jest również księgarz: „Ostatnia nowość" Edwarda Bourdet w przekładzie Boya-Żeleńskiego. Jakaż to ulga dla człowieka cywilizowanego znaleźć się w obrębie sztuki, którą wytwarza wyższa kultura! Jasna myśl utworu, jakaś zasłużona pogoda duszy, a przedewszystkiem zaprzeczenie bolszewickiego maltretowania człowieka. Para małżeńska, Marek i Żaklina, to piękne odkrycie artystyczne.

Wyborną komedję Bourdeta, doskonale przełożoną, pięknie odegrano. Teatr Polski ma dobrych młodych aktorów, a dzielną siłę znalazł w p. Daczyńskim. Wśród dzisiejszych artystek niema bardziej utalentowanej od p. Modzelewskiej. Prawdziwa rozkosz patrzeć na wdzięk jej inteligencji artystycznej.

Z. W.

ZMARLI

SZYMON DZIERZGOWSKI

ZMARŁ w Warszawie wybitny uczony i działacz społeczny śp. Szymon Dzierzgowski. Urodzony w Płocku 1866 r. ukończył 1889 r. politechnikę w Zurychu. Jako asystent sławnego Marcelego Nenckiego, wkrótce zostaje w Petersburgu dyrektorem Instytutu medycyny doświadczalnej. W wojnie brał udział w randze generała; jako organizator gazownictwa był w ciągłym ruchu między Kaukazem a Karpatami.

Po powrocie do kraju 1918 objął stanowisko naczelnika wydziału hygjeny wsi i miast w ministerstwie zdrowia, potem organizował sekcję hygjeny publicznej i medycyny społecznej. W 1919 roku powołany zostaje do objęcia katedry hygjeny w Uniwersytecie Warsz. W roku 1920 podejmuje akcję S. S. S., którą prowadzi skutecznie jako prezes.

W 1918 r. został członkiem Warsz. Tow. Hygjenicznego i Tow. Naukowego Warszawskiego, a w 1921 roku członkiem Akademji Umiejętności.

W ostatnich latach brał czynny udział w życiu politycznem kraju. Stawał jako kandydat do Senatu z listy narodowej stolicy. Był członkiem Rady Naczelnej Stronnictwa Narodowego. W ostatnich czasach kierował oddziałem bakterjologicznym w zakładach Spiessa.

Pozostawił po sobie pamięć człowieka nieskazitelnie prawego z gorącego patrjoty.

NA MARGINESIE

Publicysta „Głosu Prawdy" trafił... kulą w płot. Pisząc w rubryce „Niedyskrecje" (nr. 332) o spoliczkowaniu ukraińca posła Chruckiego przez posła Polakiewicza (Bezp. Bl.), czyni następującą, we własnem mniemaniu „złośliwą" uwagę: „Gdzież p. Mostowicz jeszcze i Zdziechowski? Niechaj co prędzej utworzą z p. Nowaczyńskim i Chruckim na czele blok poszkodowanych na ciele i „zmontują" wspólny front — bardzo im razem będzie do twarzy".

Publicysta „Głosu Prawdy" nie zorjentował się w pośpiechu, że uczciwy człowiek, któremu np. cegła z dachu spadnie na głowę, nie zostanie bynajmniej „skompromitowany", jeżeli wkrótce potem takaż sama cegła spadnie na łeb... bandycie. Narodowcowi, którego pewnej nocy okradli złodzieje, nie przyniesie żadnej ujmy, jeżeli nocy następnej taż sama banda rabusiów okradnie... komunistę. I nie będzie to wcale „współpracą nacjonalistów z komunistami", skoro z okazji obu tych kradzieży prasa narodowa zwróci uwagę władz bezpieczeństwa na konieczność energiczniejszej walki ze złodziejami.

Złośliwe, i to w wysokim stopniu złośliwe jest natomiast zestawienie przez „Głos Prawdy" odruchu pos. Polakiewicza z bandyckiemi postępkami nieznanych łotrów i tchórzów, którzy w kilku, pod osłoną nocy, napadali na pp. Zdziechowskiego, Mostowicza, Nowaczyńskiego... A już szczytem zaiste złośliwości jest umieszczenie tego zestawienia w rubryce... „niedyskrecje"...

*

Na interpelację Klubu Narodowego „w sprawie wywierania nacisku na młodzież, celem skłonienia jej do podpisywania oświadczeń o charakterze politycznym" (adresy hołdownicze do min. Piłsudskiego) p. minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, pułk. Świtalski nadesłał odpowiedź, w której oświadcza:

„W wyrażaniu uznania zasług marszałka Piłsudskiego... nie mogę widzieć wprowadzania polityki do szkoły, gdyż za objaw taki nie mogę uważać zbliżania młodzieży do notorycznie znanych i najobjektywniej stwierdzonych faktów historycznych... Dlatego też byłem zdecydowany kategorycznie zdyskwalifikować wszystkich tych kierowników młodzieży, którzyby, osłaniając się płaszczykiem apolityczności zajęli wobec tej akcji stanowisko niechętne lub zgoła nieżyczliwe. Widziałbym bowiem w nich ludzi niezdolnych do objektywnego historycznego sądu wskutek zatrucia ich myśli i uczuć jadem współczesnego politycznego partyjnictwa"...

Oświadczenia ministrów do złudzenia przypominać zaczynają artykuły „Expressu" i „Kurjera Czerwonego". Ta sama powaga w ujmowaniu zagadnień życia narodowego, ta sama rycerskość metod, ten sam „objektywizm", ta sama forma literacka...

*

Agencja Wschodnia donosi:

„Senat akademicki uniwersytetu poznańskiego wystosował pismo do prezesa B. B. posła pułk. Sławka, wyrażając mu ubolewanie z powodu zajść, jakie miały miejsce podczas jego odczytu w Poznaniu w dniu 24 listopada r. b."

Podobno w związku z powyższem formuła „Wysoki Senat" ma być w Poznaniu zastąpiona terminem „Senat Uniżony"...

*

Twórca Ligi Paneuropejskiej hr. Coudenhove-Calergi, jak donosi korespondent berliński *Journal*'a, sprzeniewierzył fundusze Ligi, pochodzące z paneuropejskich składek. Oczekujemy wyjaśnień w „Epoce" ze strony p. Lednickiego, czy wobec tego Paneuropa dojdzie do skutku.

NOWE KSIĄŻKI

Kiniorski Marjan. W służbie ziemi. Refleksje rolnika na posterunkach publicznych. Warsz. 1929. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. S. VIII i 315.

Pamiętnik Koła Kielczan. 1928. Kielce—Warszawa 1929. Nakładem Koła Kielczan. S. 120.

Stroński Stanisław. Pierwsze lat dziesięć. 1918—1928. Lwów 1928. Gubrynowicz i syn. S. 627 (z ilustracjami).

Tow. wydawnicze „Rój" wydało:

Marczyński Antoni. Niewolnicy z Long Island. Powieść współcz., oraz Bibljoteczki historyczno-geogr. nry: 105—109.

Dębicki Tadeusz. Od brzegu do brzegu. Opowieść morska. Warsz. 1928. Gebethner i Wolff.

Szczepkowski Bolesław. Niedźwiedź. Powieść. Warsz. 1928. Gebethner i Wolff.

Blasco Ibanez Vincente. Kwiat majowy. Powieść. Warsz. 1928. „Sfinks".

Huysmans J. K. W drodze. Powieść 2 t. Warsz. 1928. „Sfinks".

Świątkowski Wacław. Lubelskie. Czwarta wycieczka po kraju. Warsz. 1928. Nakładem autora. S. 140 i 2 mapy (wiele ilustracyj).

Hoene-Wroński. List do papieży o naglącej potrzebie obecnej spełniania religji. Przełożył z franc. Józef Jankowski. Prace Instytutu Mesjan. im. Hoene-Wrońskiego. Wydanie ku uczczeniu 150 rocznicy urodzin. Warsz. 1928. M. Arct. 2 portrety, S. VII i 160.

Nakładem księgarni F. Hoesicka w Warszawie wyszły obecnie książki:

Z dziedziny poezji i powieści: Pawlikowska Marja— „Paryż".—Rytard Mieczysław „Nowe wiosny".—Ostrowska Bronisława „Rozmyślania" oraz „W starym lustrze" (nowele).—André Lucjan „Jaskinia Platona" oraz „Szlakiem niepodległych (1918—1928)".—Konopacka Halina „Któregoś dnia". Labé Luisse „Elegje i sonety" w przekładzie Włodz. Kopaczyńskiego. — Brzękowski Jan „Psychoanalityk w podróży" (powieść). — Konar Al. Alfred „Optymistka" (nowele).

Z dziedziny nauki i polityki:

Kelsen Hans. Zagadnienie parlamentaryzmu. Przeł. Artur Miller. S. 28.

Limanowski Bolesław. Rozwój polskiej myśli socjalistycznej. S. 28.

Cherfils Christjan. Zarys religji naukowej. Wstęp do Wrońskiego. Przeł. Cz. Jastrzębiec Kozłowski. Przedmowa Paulina Chomicza. Prace Inst. Mesjasz. S. 257.

Magiera Jan. Literatura czeska i słowacka. S. 292.

Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu wydała:

Ossendowski F. A. Sokół pustyni. Powieść.

Jeske-Choiński Teodor. Gasnące słońce. Powieść z czasów Marka Aureljusza. Wyd. IV. 2 tomy.

Curwood J. O. Łowcy złota. Przekład J. Marlicza.

Wiktor Jan. Tęcza nad sercem. Powieść.

Kowalski Kazimierz ks. dr. Filozofja Augusta hr. Cieszkowskiego w świetle zasad filozofji św. Tomasza z Akwinu. Studjum porównawcze. S. 247.

Księgarnia Dom Książki Polskiej w Warszawie wydała:

Rzewuski Adam hr. Ze strzelbą na ramieniu. Opowiadania myśliwskie. Z przedmową J. Ejsmonda (portret).

Łubieński Henryk. Rycerze śmierci. Powieść z roku 1863.

Conrad Joseph. Nostromo. Powieść z pobrzeża morskiego. Przełożył St. Wyrzykowski. 2 tomy.

Bocheński Adolf M. Ustrój a racja stanu. Lwów 1928. B. Połoniecki. S. 114.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

PRZEDPŁATA NA R. 1929: kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM